№ 42 Warszawa, dnia 9 (21) Października 1882 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

NOTATKI Z POBYTU W EGIPCIE.

Przez

Stefana Marusieńskiego.

16 lipca 1882 roku.

Za mym powrotem z podróży do Czerwonego morza wstąpiwszy w granice Egiptu, posłyszałem pierwszą wiadomość o zbombardowaniu Aleksandryi. Z pośpiechem tedy odbywałem resztę drogi i rzeczywiście za powrotem do Negadeh znalazłem całą ludność chrześciańską w niezmiernym popłochu. Groźne wieści o zniszczeniu Aleksandryi i wymordowaniu chrześcian w Damanhur, Tantah, Mansurah i innych miastach północy, podawano sobie z ust do ust. Widząc tedy, że powrót mój do Europy stał się niemożebnym, postanowiłem zostać w Negadeh zdając się we wszystkiem na opiekę Opatrzności.

W okolicy poczęło wrzeć między muzułmanami, wielu proroków i derwiszów przebiegało wioski i duary głosząc wielkość posłannictwa Arabi baszy i zachęcając do mordu i rabunku.

W Negadeh płacz i trwoga, zamożniejsi mieszkańcy poukrywali się w domach obwarowawszy drzwi i okna, podczas gdy uboga ludność krzycząc i lamentując chodziła tłumami po ulicach błagając Boga o ratunek.

Niedowierzając jednak jeszcze okropnym wieściom, które co dnia z północy nas dochodziły, postanowiłem przekonać się naocznie o stanie rzeczy.

W tym celu przygotowawszy mą małą łódź żaglową puściłem się w podróż.

Niestety jednak, wiadomości okazały się aż nadto prawdziwemi, zaledwie bowiem minąłem Gene, spotkałem po drodze kilka wielkich łodzi tak pełnych Nubijczyków, że woda prawie przez wierzch onych się przelewała. Zatrzymawszy mój statek wstąpiłem na jeden z okrętów i udając kupca zapytałem o opium. Lecz zamiast opium przyniesiono mi stosy ubiorów europejskich, sztuki materyi jedwabnych, damską bieliznę i suknie oraz wiele innych rzeczy, któremi okręt był napełniony.

— Zkąd wy to macie? — zapytałem zdziwiony.

— To wszystko co widzisz, zrabowaliśmy w Aleksandryi i innych miastach; lecz wejdźno do kajuty to ci coś lepszego pokażę — dodał kapitan uśmiechając się jak tygrys.

Z oburzeniem wstąpiłem po ślizkich schodkach do w pół ciemnej kajuty gdzie w skrzyniach i na półkach spostrzegłem mnóstwo zegarków, łańcuszków, pierścieni i innych kosztowności. Na niektórych czerniła się jeszcze krew nieszczęśliwych ofiar a połamane koperty u zegarków i potargane łańcuszki świadczyły, że wszystkie te rzeczy przemocą ich właścicielom zrabowanemi zostały. I rzeczywiście objaśnił mnie kapitan, że kosztowności pochodzą z czasów rzezi w Aleksandryi, podczas gdy płótno, jedwab' i ubiory zrabowane zostały w czasie bombardowania za wiedzą i pozwoleniem Arabi-baszy.

Kapitan ofiarował mi cztery złote zegarki i kolię brylantową za cenę tysiąca piastrów (50 rs.) lecz ze wstrętem odrzuciłem tę jego propozycyą czem on bardzo zdziwiony, rzek:

— Mam tu w łodzi inny jeszcze towar lecz ten z pewnością ci się spodoba.

Mówiąc to odsunął ciężki rygiel i pchnąwszy drzwi nogą wprowadził mnie do dosyć obszernej stancyi, gdzie na długim wązkim dywanie spostrzegłem cztery kobiety siedzące skulone obok siebie.

— Dziesięć tysięcy piastrów za każdą z nich; wszak to nie drogo? — szepnął mi kapitan na ucho. — Przypatrz im się bliżej — dodał otwierając małe okienko boczne, przez które wpadające słońce oświetliło wybladłe oblicza i zapłakane oczy tych nieszczęśliwych istot.

Z rysów twarzy i ubioru poznałem iż były to Turczynki lecz niedowierzając zapytałem kapitana, czy nie ma przypadkowo kobiet Frengów u siebie.

— Sam Eblis by ich nie dostał, przeklęte giaurki! Jedna z nich w czasie rzezi w Aleksandryi piętnastu z naszych jak psów zastrzeliła, lecz w końcu dostawszy ją pociąłem na sztuki i własnoręcznie do morza wrzuciłem — kończył głucho kapitan zgrzytając zębami.

Podłoga kajuty paliła mi nogi, a opowiadania kapitana do tego stopnia krew mi wzburzyły, że już za rewolwer chwytałem, lecz rozważywszy że sam jeden całej tej zgrai rabusiów nie podołam, powróciłem prędko na pokład i pomimo uprzejmych zaproszeń dowódzcy statku, abym na wieczerzy pozostał, dla wysłuchania dokładnej historyi jego bohaterskich czynów, zeskoczyłem szybko do mej łodzi i w kilka minut byłem już daleko od tych ohydnych potworów.

20 lipca 1882 roku.

Dziś zawezwano telegrafem wszystkich wysłużonych żołnierzy. Gafiry i ganasy (*) korbaczami wypędzają biedaków z domów i zakutych w kajdany jak zbrodniarzy dostawiają na statki i łodzie a wśród płaczu i jęków kobiet słychać głomki gros mahona i świst pletni spada-

(*) Gafiry — stróże, ganasy — pachołkowie rządowi.

jącej na barki opornych. Wszyscy zawezwani są to starcy i kaleki po największej części, lecz basza nie wie co litość, a rozkaz Arabiego jest mu świętszym nad wszystko. Z barbarzyńskiem okrucieństwem wpędzają nieszczęśliwych żołnierzy do okrętów i pół nagich, głodnych, wśród piekielnego skwaru transportują do Gene, zkąd ich parostatek powiezie dalej.

Rozpaczy pozostałych rodzin i scen serce rozdzierających jakich byłem świadkiem, nie potrafię wam opisać.

28 lipca 1882 roku.

Co chwila naochodzą wezwania, zabrano wszystkie konie i muły a biednym fellahom przemocą odbierają wielbłądy, zboże, masło i t. d. i wszystko znoszą na okręty, które ukończywszy ładunek natychmiast ku północy odpływają.

Dziś w południe nadpłynęło znów kilka łodzi nubijskich z Kairu wioząc całe sklepy zrabowanych towarów. Wielu z tych czarnych ustroiwszy się w ubiory europejskie i obwiesiwszy łańcuszkami paradują po naszej wiosce bijąc i ścigając nielicznych przechodniów koptyjskich, których na drodze napotykają.

Kilkudziesięciu Arabów i Mulatów przyłączywszy się do nich, poczynają już rabunek na bazarze zabierając owoce i chleb biednym przekupniom.

Zawodzenia kobiet, jęki, płacze i strzały z ręcznej broni mieszając się razem tworzą piekielny haos. Krzyki i bójka przed moim domem, opuszczam więc pokój i z rewolwerem w ręce wybiegam na ulicę. Kto wie jak dzisiejszy dzień dla mnie się zakończy.

. . . .

Już późno wieczorem powróciłem do siebie, lecz zbyt jestem wzruszony abym mógł wypadki całodzienne obszernie wam opisać. Kiedy bowiem usłyszawszy owe krzyki wybiegłem na ulicę, spostrzegłem kilkunastu Nubijczyków i Arabów bijących nielitościwie starego Kopta krzycząc:

— Przeklęty czarny turbanie (*) oddaj twe pieniądze i daj nam chleba, bo inaczej zabijemy cię jak psa.

Nieszczęśliwy Kopt zbity i pokrwawiony tarzał się w prochu żebrząc napróżno o litość.

Na ten widok krew zawrzała we mnie i z wściekłością wpadłem między tę bandę krzycząc:

— Precz rabusie! puśćcie tego człowieka! Co on wam zawinił?

— A tobie co do tego Frengu? — odparł naczelnik bandy. — Wymordowaliśmy twych braci w Aleksandryi to i tobie damy tutaj radę; dalej bracia zróbmy koniec temu Abu-bernetа! (**)

— Milcz psie przeklęty! bo klnę się na Ałłaha, że ci łeb kulą roztrzaskam! — krzyknąłem, mierząc rewolwerem. Widok broni podziałał, puszczono biednego starca lecz zato cała banda obróciła się na mnie.

Oparty o mur, z wyciągniętym rewolwerem stałem zdecydowany na wszystko. Moi przeciwnicy otoczywszy mnie dokoła obelgami i przekleństwami dodawali sobie odwagi i już noże ich błysnęły w powietrzu a rzucony kamień zerwał mi kapelusz z głowy, gdy w tym samym momencie wybiegł z bocznej uliczki brat omdego (*) z kilkunastu gafirami uzbrojonymi w strzelby i długie nabuty. (**)

Na ich widok Nubijczycy pierzchli a ja podziękowawszy serdecznie memu wybawcy za jego pomoc w tej krytycznej chwili, udałem się do stacyi misyjnej, gdzie mnie misyonarz jak zmartwychwstałego powitał. Rozeszła się bowiem wieść, że mnie już zabito.

Lecz i tutaj także groziło niebezpieczeństwo, kiedy bowiem przed zachodem słońca odezwał się dzwon z wieży kościołka, kilkudziesięciu czarnych opuściwszy łodzie rzuciło się ku stacyi i krzycząc jak szaleni, domagali się wydania misyonarza. Chrześcianie jednak zgromadzeni przed stacyą zdecydowani umrzeć raczej niż dać zbezcześcić kościół, odparli napad i wypędzili Nubijczyków z miasta.

Długo w noc jeszcze widziałem w lasku palmowym ognie ich obozowiska, zkąd chwilami donosił wiatr pomieszane głosy i dzikie ich śpiewy. Jak mi na drugi dzień opowiadano, wieźli ci barbarzyńcy w swych okrętach kilkanaście porwanych kobiet, między któremi dwie europejskie dziewczęta znajdować się miały. Lecz wątpię żeby to ostatnie miało być prawdą, o ile bowiem słyszałem, to jeszcze przed zbombardowaniem Aleksandryi, wszyscy europejczycy to miasto opuścili.

29 lipca 1882 roku.

Szczęściem dla nas, nadpłynął dziś o świcie parostatek rządowy, mający zabrać żołnierzy z Negadeh. Bimbasza oddziału stary, poczciwy Arab, posłyszawszy o wczorajszych zaburzeniach, rozkazał żołnierzom kolbować Nubijczyków i wpędzać ich na łodzie.

W godzinę potem wszystkie ich okręty rozwinąwszy żagle, popłynęły szybko ku południowi.

I tak codzień, co godzina niemal, co chwila grozi nam tutaj nowe niebezpieczeństwo; doprawdy nieznośne życie, dnie długie jak wieki a żadna wiadomość z północy nie rozjaśnia tej dusznej atmosfery, jaka nad krajem zawisła. Kładę się spać uzbrojony i najmniejszy okrzyk, wystrzał lub zamieszanie w mieście, budzi mnie ze snu i każe czuwać aż do rana.

Śmierci się nie lękam, do niebezpieczeństw i cierpień przywykłem, lecz ta ciągła niepewność wisząca jak miecz Damoklesa nad mą głową, męczy mnie i niecierpliwi do najwyższego stopnia.

Jestem jedynym z europejczyków, którzy się tutaj pozostali i w razie powstania muzułmanów jedynie tylko na siebie rachować mogę. Kopci chrześcianie bowiem choć dosyć liczni w naszem mieście, pod względem odwagi jednak z zającami o lepsze idą. Nawet mej codziennej przechadzki zaprzestać musiałem z powodu nieprzyjemności jakich mnie nabawiało każdorazowe przejście po uliczkach zamieszkałych przez muzułmanów. Dwadzieścia dni dopiero, odkąd do Egiptu powróciłem, lecz zdaje mi się, że wieki już przeszły od tego czasu.

9 sierpnia 1882 roku.

Dziś przyszła wiadomość o pobiciu Anglików przez Arabi-baszę, muzułmanie obchodzą to zwycięztwo jak największe święto. Muezzin donośnym głosem wykrzykuje:

— Wspomógł Ałłah wiarę muzułmanów dając im zwycięztwo, a połamał Ałłah niewiernych giaurów i padła ich wielka moc, tak że ziemia poczerwieniła się od wylanej krwi!

Roznamiętniony motłoch przebiega uliczki łamiąc bramy i bijąc chrześcian. Na czele ich brudny, obdarty święty derwisz z chorągwią w ręku, pieniąc się z szału krzyczy:

— Ostatni dzień waszego życia przeklęte Kafry, jutro ani jeden z was żywym nie zostanie!

W sąsiedniej wiosce cztery familie chrześciańskie wymordowano, z bazaru kupcom towary zrabowano i pobitych z wioski wypędzono. Jutro zapewne przyjdzie kolej na Negadeh.

10 sierpnia 1882 roku.

W nocy przybiegł posłaniec gajmagana z telegramem od Arabi-baszy i i zwoławszy całą ludność odczytał co następuje:

„Ponieważ niepokoje i zamieszki groźny charakter przybrały, nakazuję zatem, aby każdego Araba, który jednem słowem obrazi chrześcianina, choćby to był nawet Anglik z którym wojnę prowadzimy, jako burzyciela porządku, według prawa wojennego natychmiast bez sądu na drzwiach jego domu powieszono.

„Dan w Kafr-el-Dauer w miesiącu Ramadan.

Podpisano Ahmed Arabi."

Telegram ten i nowy pobór rekruta ochłodziły nieco zapał muzułmanów lecz nie na długo, wiadomości bowiem o wielkich zwycięztwach wojsk egipskich rozbudziły na nowo fanatyzm i sceny poprzednio opisane powtarzają się niemal codzień.

19 sierpnia 1882 roku.

Doszedł mnie dzisiaj list od rodziny, datowany z 11 lipca, koperta rozcięta z pieczęcią głównej kwatery i napisem, że został otworzony. Pomięty i źle złożony świadczył, iż tajny gabinet Arabibaszy wielokrotnie go odczytywał, lecz ponieważ po polsku był pisany wątpię więc czy się zeń dużo dowiedziano.

Od kilku już dni nie opuszczam prawie wcale domu. Uzbrojeni muzułmanie bowiem, koczując na ulicach nie dozwalają przejść spokojnie żadnemu chrześcianinowi.

25 sierpnia 1882 roku.

Zniecierpliwiony ciągłą bezczynnością i siedzeniem w domu, wyszedłem dzisiaj na przechadzkę nad Nil, idąc tuż nad brzegiem spotykam muzułmanina, który stanąwszy wśród ścieżki zabronił mi przejścia. Rozgniewany do najwyższego stopnia, odkładam strzelbę i silnym ruchem ręki odpycham go z drogi. Na jego wołania przybiegło kilkunastu fellahów a kobiety z sąsiednich domów poczęły rzucać na mnie cegły, krzycząc w przeraźliwy sposób.

Szczęściem łódka moja stała niedaleko, w dwóch skokach byłem przy niej i odwiązawszy łańcuch puściłem się z biegiem Nilu. Rozwinąwszy następnie żagiel i wywiesiwszy flagę strzeliłem dwukrotnie z fuzyi na wzgardę całemu tłumowi muzułmanów, ktory bezsilną złość swoją przekleństwy i rzucaniem kamieniami okazywał.

(*) Według dawnego prawa nie mogli chrześcianie tutejsi nosić innych turbanów jak tylko czarne a to dla łatwiejszego wystawienia ich na wzgardę i pośmiewisko Mohamedan.

(**) Abu-berneta „Ojciec kapelusza" przezwisko dawane europejczykom, którzy zamiast fezu, kapeluszy używają.

(*) Omdi — naczelnik wioski.

(**) Nabuty — maczugi.

O powrocie do domu ani myśléć było można, skierowawszy więc łódkę na wschód popłynąłem kanałem do Garagios, gdzie z wielkim trudem udało mi się znaleźć schronienie w stacyi misyjnej u księdza rodaka.

5 września 1882 roku.

Dziś wieczorem powróciłem do Negadeh i zaszedłszy do domu znalazłem wszystkie okna potłuczone, drzwi wyłamane, a wiele sprzętów potrzaskanych leżało w dolnych pokojach na podłodze. Na górze jednak wszystko było w porządku: snać przeszkodzono muzułmanom w dalszym rabunku. Zamknąwszy drzwi dolne jako tako i opatrzywszy broń, udałem się na spoczynek. Około północy zbudził mnie murzyn pewnego Kopta prosząc o udanie się do jego pana. Zarzuciwszy więc strzelbę na ramię i zatknąwszy rewolwer pospieszyłem za nim. Za przybyciem do domu mego znajomego zastałem podwórzec zapełniony tłumem strwożonych chrześcian: kobiety, mężczyzni, starcy i dzieci, wszystko zbite razem jak gromada owiec kupiło się na ziemi pod murami.

Gospodarz pochwyciwszy mnie za rękę i kazawszy zaryglować bramę, wprowadził na górę gdzie znalazłem jego matkę, żonę i całą rodzinę zgromadzoną w jednym pokoju. Kobiety łamiąc ręce płakały błagając Ałłaha o ratunek.

— Co się stało? — pytam zadziwiony.

— Wymordowano zakonników i chrześcian w klasztorze w pustyni, a kilkuset muzułmanów z okolicy maszeruje na Negadeh — odparł trwożliwie gospodarz domu.

— O! broń nas, broń o Frengu, wszak jesteś chrześcianinem — wołały kobiety tuląc płaczące dzieci.

— Dobrze, dobrze, lecz uspokójcie się, bo nie ma żadnej obawy — odpowiedziałem opuszczając pokój i schodząc w podwórze. Przywoławszy następnie kilku odważniejszych koptów ze strzelbami, powróciłem na górę i umieściłem się na murach terasy domu, zkąd miałem widok otwarty na całą okolicę. Pomimo uważnego rozpatrywania się nigdzie jednak nic podejrzanego dostrzedz nie mogłem. Nad ranem jedynie usłyszałem w północnej części miasta kilkanaście strzałów i spostrzegłem łunę pożarną, lecz za chwilę wszystko ucichło.

O wschodzie słońca powróciłem do siebie i znużony nadzwyczaj rzuciłem się ubrany na posłanie szukając nieco spoczynku. Niedługo jednak spać mogłem, wkrótce bowiem zbudziły mnie przeraźliwe krzyki i płacze kobiet w sąsiednim domu. Zaniepokojony wybiegam na terasę i spostrzegam całą uliczkę zapełnioną gafirami a na ich czele omdego, który przy pomocy kilku uzbrojonych Arabów wyciągał z domów mężczyzn i zakuwał ich w kajdany. Na me zapytanie coby to miało znaczyć, odparł, że przyszedł rozkaz poboru do wojska wszystkich co tylko broń unieść zdołają. Za chwilę ze wszystkich stron dochodzą mnie krzyki i płacze, ulice napełniły się uciekającymi za którymi rzucają się gafiry w pogoń bijąc niemiłosiernie złapanych. Doprawdy krew w żyłach mi cierpnie na widok tych okropności. Wszystko chroni się ku pustyni, muzułmanie i kopci dotknięci wspólnem nieszczęściem, pomagają sobie nawzajem w ucieczce. W godzinę potem wioska jak wymarta, cała ludność uciekła w góry.

8, 9, i 10 września 1882 roku.

Rozgniewany omdi zebrawszy kilkuset uzbrojonych ganasów udaje się codzień w pustynię, gdzie ochronieni mieszkańcy czekają z bronią w ręku na jego przyjście. Z terasy mego domu widzę dokładnie za pomocą lunety przebieg krwawych walk jakie uciekający z Arabami staczają. W końcu jednak omdi zwyciężył a nieszczęśliwa ludność gnana jak stado owiec, powróciła w kajdanach do wsi.

Po straszliwych scenach ukarania głównych przywódzców buntu, sprowadzono biedaków na okręty i odesłano gajmaganowi do dalszege rozporządzenia.

15 września 1882 roku.

Straszliwe sceny, jakich od dwóch miesięcy przeszło jestem ciągłym świadkiem, oddziałały na mnie bardzo szkodliwie.

Dziwna apatya zawładnęła całem mem jestestwem, na wszystko spoglądam z obojętnością i nic mnie już więcej wzruszyć nie może. Dziś naprzykład już od rana panuje zamieszanie w mieście, zabierają bowiem biednym mieszkańcom ich owce, bawoły i resztę krów, które zaraza oszczędziła. Biedacy widząc iż ostatni sposób do życia odjęty im zostaje, w niemej rozpaczy i osłupieniu pozwalają robić wszystko nie myśląc bynajmniej o obronie. Chcąc uniknąć tego nerwy drażniącego widoku, opuściłem wioskę i udałem się nad Nil. Usiadłszy na kamieniu nad brzegiem przyglądałem się falom rzeki cicho płynącej, której wody oświetlone zachodzącem słońcem, lśniły się jak morze ognia i purpury. Pomieszane głosy z przypływającego statku zwróciły mą uwagę wyrywając z zamyślenia. Podnoszę głowę i spostrzegam dwóch ganasów, którzy z podniesionemi nabuty, biegli szybko ku mnie wydając dzikie okrzyki. Pierwszy z nich za przybyciem wręczył mi kawałek papieru mówiąc:

— Czytaj!

Rzuciłem okiem na kilka słów nakreślonych arabskim charakterem i wyczytałem:

„Telegram urzędowy.
„Dobra wiadomość, Anglicy weszli do Kairu, Arabi-basza złapany, wojna skończona."

Odetchnąłem. Dzięki Ci Boże, pomyślałem sobie i natychmiast pobiegłem z ganasami do wioski podzielić się z innymi tą dobrą wiadomością. Radości koptów nie potrafię wam opisać, dziki szał owładnął wszystkimi, jedni płaczą, drudzy się śmieją a inni znów tarzają się w prochu wyjąc jak szaleni. Tej samej nocy jeszcze powrócili rekruci z ostatniej branki a zabrane bydło i zboże zostało zwrócone właścicielom.

Czas był też ogromny ukończenia wojny, według późniejszych bowiem wiadomości noc z 15 na 16 września, została obraną przez ulemów Kairu i zatwierdzoną przez Arabi-baszę jako chwila ogłoszenia świętej wojny to jest wymordowania wszystkich chrześcian i inowierców, którzy w Egipcie się znajdowali.

Nareszcie tedy po dwóch miesiącach straszliwej niepewności dziś po raz pierwszy oddycham swobodnie i uniknąwszy grożących mi niebezpieczeństw przesełam wam kilka kartek z mych wspomnień wraz z serdecznem pozdrowieniem.

SIEROTA.

Stał wątły, malutki z oczkami jasnemi,
Na łączce, na kwietnej, — za siołem, —
Koszulka mu zgrzebna spadała do ziemi,
I włoski się wiły nad czołem...

Stał wątły, malutki z motylem w rozmowie,
Któremu przyglądał się zblizka, —
A przed nim leżała w głębokim parowie,
Wioszczyna słomiana i nizka...

I wiejski kościołek z wieżyczką drewnianą
Wysoko, aż w niebo gdzieś zmierzał, —
Niedziela to była, — w kościołku śpiewano,
I dzwon uroczyście uderzał...

Wesoło i gwarno szły krasne dziewczyny,
W barwistych, świątecznych sukienkach, —
Szły matki, prowadząc za sobą dzieciny,
Lub niosąc ostrożnie na rękach...

Stał smutny — i puścił motyla ku ziemi —,
Nie patrząc jak frunął na kwiatki, —
I z jakąś żałością, oczkami łzawemi —
Poglądał na obce mu matki...

I patrzał zazdrośnie, jak czarna ich ręka,
Ujmuje swe dzieci ojczysto, —
Samotny! — do niego nie przyszła mateńka,
By umyć, — koszulkę dać czystą...

I w główce powstały pytania u niego, —
A jedne od drugich smutniejsze:
Dlaczego ja nie mam mateńki, dlaczego —
U innych koszulki piękniejsze? —

Przypomniał, że kiedyś, gdy bardzo był mały,
I on u czyjegoś drżał łona, —
I nań czyjeś oczy miłośnie patrzały, —
Tuliły go czyjeś ramiona...

A potem... usnęła i o swem dzieciątku,
Zapomnieć nazawsze musiała, —
On smutny był bardzo i płakał z początku,
Bo ona też tak go kochała! —

Józef Korwin.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

W sali jadalnej zastałem już wszystkich zebranych i czekających tylko za mem przybyciem, aby zasiąść do obficie zastawionych darów bożych. Skoro tylko znalazłem się w jadalni, pierwszem spojrzeniem poszukałem twarzy Kseni. Stała przy krześle pomiędzy panną Anastazyą i nauczycielką tak rozpromieniona, że zdawało się, iż cała jej postać wydaje z siebie jakieś światło, które otaczało ją aureolą szczęścia i radości. Kiedy przecież za-

siedliśmy do stołu, uważałem że jadła bardzo mało, oprócz galarety i jakiegoś ciasta deserowego, nie ruszyła żadnej potrawy, ale bawiąc się wyjętą z bukieta stojącego na stole gałązką heliotropu, nie odwracała prawie oczu od siedzącego naprzeciw artysty, który bardzo sumiennie odwzajemniał się jej spojrzeniami pełnemi ognia i zachwytu. Kiedy zaś około godziny jedenastej konie Eugeniusza zaszły przed ganek, Ukrainka po ogólnem pożegnaniu pociągnęła pannę Skarzyńską i czego nigdy nie robiły, wyszły jeszcze za nami na ganek.

Noc była jasna, cicha, księżycowa i zanim młody człowiek wsiadł do powozu, staliśmy wszyscy chwilę długą na progu, rozkoszując się chłodnem, świeżem po deszczu powietrzem, które po kilkodniowym upale i suszy, ożywiało płuca nasze zarówno jak i całą spragnioną naturę. Skrzyński rozpromieniony i szczęśliwy, składając pannom po raz drugi dobranoc, stając przed niemi z kapeluszem w ręku, starał się przedłużać pożegnanie i zaplątawszy pannę Skarzyńską w jakąś wesołą sprzeczkę, prowadził z nią humorystyczną utarczkę językową. Widocznie do ostatniej chwili usiłował trzymać się raz przyjętej taktyki i kryć swe karty do ostatka. Kiedy ostatecznie wsiadać miał do powozu, pożegnał panny obie jednym ukłonem i tak nauczycielce, jak uczenicy ścisnął rękę z równie przyjacielskim, koleżeńskim prawie akcentem. Dopiero kiedy służący otworzył drzwiczki powozu i młody człowiek położył już nogę na stopniu, nagle zatrzymał się, spoważniał i podniósłszy do ust rączkę Kseni, złożył na niej pocałunek pełen szacunku i uczucia.

Lekki rumieniec oblał twarz dziewczęcia, był to zapewne pierwszy pocałunek jaki ktośkolwiek złożył na jej dłoni, bo pozostawiwszy bez ruchu rączkę w ręku ukochanego, podniosła na niego spojrzenie wpół-rozrzewnione a wpół zadziwione radośnie, a gdy Eugeniusz puściwszy jej rączkę wsiadł do powozu i uniesiony rączym kłusem koni zniknął za bramą, stała jeszcze na miejscu z tym samym wyrazem na twarzy, chwytając uchem oddalający się turkot pojazdu. Kiedy zaś nareszcie ostatnie jego echo ucichło pod niedalekim brzozowym laskiem, zwróciła się nagle do mnie i zarzucając mi obie ręce na szyję, przytuliła pałającą twarzyczkę pieszczotliwie do mego ramienia. Po raz pierwszy w życiu uścisk ten jej nie sprawił mi radości, wiedziałem że jest to wylew przepełnionego szczęściem serca i pozostałem w objęciu cudnej mojej faworytki chłodny i smutny.

Około połowy lipca, codzienny, spokojny tryb naszego życia został zakłócony przyjazdem naszych dawno spodziewanych i oczekiwanych gości paryzkich.

Pani Helena Dąbska zabawiła tylko w Młynach dni dwa. Nie będę też wdawał się w opisy bliższe tej efektownej, wspaniałej, pięknej jeszcze w całem znaczeniu tego słowa kobiety, która jak meteor świetny zabłysła nam w przelocie na spokojnym horyzoncie dni naszych i sprawiwszy prawdziwe zaburzenie w umysłach, znikła z przed oczu olśnionych jak sen, udając się prosto z cichych, spokojnych Młynów, najpierw do Wiesbaden, czy Kissingen, następnie do morza dla istotnego poratowania i wzmocnienia sił nienaturalnem życiem nadwątlonych, a w końcu na zimę całą, jak mówiła, do tej krainy cudnej, gdzie cytryna dojrzewa.

Panna Eulalja, przez matkę i świat cały zwykle Lalką zwana, nie była wcale laleczką białą, sztywną i wymalowaną, jakby to kto mógł sądzić i jak ja sam wystawiałem ją sobie po brzmieniu jej imienia. Było to stworzenie malutkie, szczupłe, drobne, z rączką i nóżką rusałki, twarzyczką niewymownie wdzięczną, matowo śniadą, prawie bronzową i wielkiemi czarnemi, płomiennemi oczyma, rzucającemi zabijające spojrzenia z pod bajecznie długich rzęsów i brwi czarnych jak aksamit, narysowanych energicznemi dwoma łukami na młodem inteligentnem czole. Kiedy uśmiechnęła się purpurowemi, błyszczącemi dwoma szeregami perłowych zębów, przedstawiała typ doskonały ślicznej piętnastoletniej cyganeczki, choć w gruncie rzeczy przeżyła już na świecie lat dwadzieścia cztery i była już kobietą dojrzałą moralnie i umysłowo. Wychowana przez matkę znaną zbytkownicę, strojnisię i swego czasu kobietę słynną z podboi i awanturek miłosnych, krążących z przeróżnemi waryantami po całym kraju — dziwną siłą przeciwieństw zmieniła się w emancypantkę w całem znaczeniu tego słowa. Bez cienia kokieteryi, odznaczała się pewną surowością zasad i stroju, ubierała się tylko czarno, nosiła męzkie krawaty i kołnierzyki gładkie stojące, a olbrzymie ciemne włosy zebrane na tyle głowy w jeden węzeł z niedbałą prostotą. Prawdziwe dziecko Paryża, wychowane wśród ciągłych podróży, obdarzona niepospolitym sprytem, porywającym darem wymowy i dowcipem ostrym, choć nie powiem, wesołem uspobieniem, patrzała na świat z pewnem lekceważeniem, niczemu się już na nim nie dziwiąc, ani niczem zbyt interesując. Dla kobiet nadzwyczaj uprzejma i grzeczna, z mężczyznami obchodziła się bez śladu kokieteryi, z pewną koleżeńską swobodą i łatwością, nie robiła sobie z nimi ceremonii żadnych i nie wymagała od nich żadnych szczególnych względów i grzeczności. Traktowała ich przecież nieco z góry, i potrafiła utrzymać zawsze w granicach pewnych przyzwoitości i względów towarzyskich.

Po kilku dniach pobytu, panna Lalka podbiła sobie wszystkie serca i pozyskała względy naszej całej kolonii, zacząwszy od Jenerałowej a skończywszy na służbie, która literalnie ginęła za paryzką panną.

Z Ksenią obie polubiły się szczerze odrazu, a po tygodniu stały się towarzyszkami nierozdzielnemi.

Oryginalność i fantastyczność naszej Ukrainki podobały się światowej Paryżance. Znakomita pianistka i śpiewaczka, rozkochała się w tęsknej ukraińskiej nucie, która dle niej zupełną była nowością i jak mówiła, odnajdywała przy niej młodość i świeżość uczuć, przedwcześnie zatraconych zagranicą! Ksenia patrzała z podziwem i uwielbieniem fanatycznem na tę kobietę rozumną, śmiałą, pewną siebie, znającą świat wybornie i patrzącą na niego nieco szyderskiem okiem krytyka doświadczonego,

Poznawszy bliżej pannę Lalkę i oceniwszy dostatecznie umysł jej podniosły i rozum rzeczywiście zdrowy, przy dziwnej mocy i gruntowności charakteru, cieszyłem się tą przyjaźnią dziewcząt obu, z których jak sądziłem moja prosta, do zbytku niewinna faworytka będzie mogła osięgnąć korzyści pewne, nabierając refleksyi i pojmowania życia i ludzi na seryo, czego jej właśnie brakowało, a co najłatwiej przejąć się daje w koleżeństwie, od osób żbliżonych do siebie wiekiem i sympatyą.

Oboje z Jenerałową patrzeliśmy z przyjemnością na te dwie dziewczęta, kiedy ująwszy się pod ręce, przechadzały się po salonach, albo po cienistych ulicach parku, tworząc dwa doskonałe typy piękności różnych od siebie zupełnie, a nieustępujących w niczem. Nasza wyniosła, smukła, jasnowłosa Ukrainka, podobną była do wybujałej na giętkiej łodydze lilii białej, niewinnej i czystej, podczas gdy panna Lalka przedstawiała wybornie malutką uderzającą barwą i wonią kolczastą różę.

Porównanie to zrobił Eugeniusz kiedy po raz pierwszy ujrzał je obie razem i zatytułował tak obrazek, na którym wymalował je obie pastelami na podarunek dla naszej pani.

Młody malarz nie musiałby chyba być artystą żeby nie umiał ocenić od pierwszego spojrzenia oryginalnej piękności paryżanki, która i na nas wszystkich, choć o wiele prozaiczniejszych, głęboko uczyniła wrażenie. Mówił nam potem z entuzyazmem, że twarzy o tak gorącym, południowym kolorycie, niewiele zdarzyło mu się widzieć w życiu i dnia zaraz pierwszego zobowiązał Ksenię, aby zyskała u przyjaciółki pozwolenie, wymalowania jej jako Andaluzjanki, czy Maurytańskiej dziewczyny, którą malował przez czas pobytu w naszej okolicy. Oprócz tego spostrzegłem, że rozum jej, dowcip i pewność siebie zrobiły na nim silne wrażenie, i jak aktor gdy ujrzy loże zapełnione wyborową publicznością, tak artysta nas wytężył teraz wszystkie swe siły, wydobył całą swą sztukę, aby zwrócić na siebie uwagę naszego gościa. Panna Lalka też stała się przedmiotem szczególnych nadskakiwań jego i uprzejmości; przed nią rozwijał cały dar wymowy i dowcipu, z taką siłą o jakiej my nawet nie mieliśmy pojęcie. Panna Lalka patrzała na niego i słuchała tego wszystkiego dosyć obojętnie z uśmiechem nieco drwiącym. Nie wiem jaka tam była historya jej serca, ale nie zdawała się romansową bynaj mniej. Mężczyzn traktowała jak kolegów i umiała ocenić ich jednem rzutem oka, i o ile ze mną i z Mirskim po bliższem poznaniu, stanęła na stopie bardzo przyjacielskiej zażyłości, o tyle patrząc na Eugeniusza uśmiechała się szydersko i litościwie.

Razu pewnego po odjeździe Skrzyńskiego, powiedziała nam, że mężczyzna dowcipny to prawdziwa męczarnia i że dowcip taki jak Eugeniusza znaleźć można tuzinami we wszystkich kawiarniach i rogach każdej ulicy paryzkiej.

Nie wiem kto to powtórzył Eugeniuszowi, w wielkiem podejrzeniu co do tego miałem księdza Osowickiego, który zwykle powiadał czasem komuś coś takiego, co powiedzieć był niepowinien, dość że malarz za pierwszą potem bytnością zmienił front nagle i porzucając do niczego nieprowadzące jak się przekonał nadskakiwania, spoważniał i trzymając się bardzo zdaleka od panny Lalki, zwrócił napowrót całą swą galanteryą do naszych panien, starając się jak najwyraźniej okazać jej swą obojętność.

(*D. c. n.*)

CÓRKA DYONIZEGO PAPINA.

DRAMAT HISTORYCZNY W JEDNYM AKCIE.

Przez

Jana Mirval.

Przekład

Seweryny Duchińskiej.

(Dalszy ciąg.)

SCENA VI.

BARBARA, BENIAMINA.

BARBARA (powstając do Beniaminy). Wiatr jesienny strząsa liście z drzew i bladą czyni twarz suchotników! Już jesień Beniamino, liście pokryły ziemię. Rumieniec nie odkwitnie już na twojej twarzy. Nim miesiąc minie, twój ukochany może wybrać inną narzeczonę!

BENIAMINA. I dlaczego mówisz mi o tem pani? Okrutne twoje słowa!

BARBARA. A dlaczegóż ja mam być dobrą? Czy kto był dobrym dla mnie?... Nigdy!... Urodzona w nędzy, opuszczona przez matkę, w dziesiątym już roku ciągnęłam czółna rybackie po Wezerze. Nie byłam nigdy piękną... a zazdrościłam drugim urody. Nikt mnie nie kochał... i ja też nie kocham nikogo! Twoja cera biała i delikatna, moja żółta i pomarszczona... Masz długie jasne włosy, moje siwe i najeżone... Masz ojca, który czuwa pilnie nad tobą; mój ojciec przepijał pieniądze ciężko przeze mnie zapracowane, gdy zalał głowę, bił mnie w okrutny spossb. Ty opłakujesz twoją matkę, a ja przeklinam moją! Dlatego to dobrą nie jestem! (Zbliżając się do Beniaminy.) Beniamino, twój ojciec nie ma czem zapłacić, ty zapłacisz za niego!

BENIAMINA (przerażona). Ja?

BARBARA. A więc ty myślisz, żebyś weszła do mego domu i zasiadła spokojnie pod moim dachem, w moim własnym fotelu, nic mi za to nie zapłaciwszy? O! wcale nie! Ja nie przyjmuję ludzi dla pięknych oczu!

BENIAMINA. Ależ ja nic nie mam, moja pani...

BARBARA. Ba! młoda dziewczyna ma zawsze jakiś klejnocik... a choćby najmniejszy, ja na nim poprzestanę. Musisz przecie mieć kolczyki? (Przygląda się jej uszom.) Jakto? nie masz ich wcale? (Beniamina czyni znak przeczący.) Ale może jakiś naszyjnik. (Beniamina zaprzecza.) I to nie? A ta aksamitka na szyi, coś na niej zawieszone, krzyżyk czy medalion?

BENIAMINA (wyciągając aksamitkę). Nie, pani, oto blaszka stalowa, a na niej wypisane imię *Colbert* i data dnia, kiedy ojciec mój zaczął pracować nad tym statkiem i popłynął nim po raz pierwszy... moja przyszłość, moje szczęście zależy od Colberta. Ten kawałek stali bez wartości dla ciebie, jest dla mnie wielkim skarbem.

(Wsuwa blaszkę za suknię.)

BARBARA. Ha stal! nie będę ci wydzierać twojego skarbu! Ale masz coś innego... obrączkę, obrączkę od zaręczyn.

BENIAMINA (z westchnieniem). Nie, ja nie jestem jeszcze narzeczoną Hermana!

BARBARA (biorąc rękę Beniaminy). Widzę jednak pierścionek na twym palcu. I cóż to za pierścionek?

BENIAMINA. To ślubna obrączka mojej matki... jedyna pamiątka, jaka pozostała mi po niej.

BARBARA. Czy złota?

BENIAMINA. Nie, pani, srebrna... Moja matka była ubogą...

BARBARA. Zachowaj że pamiątkę po umarłej, ja wezmę ten skarb żywy.

(Podnosi w górę warkocze Beniaminy.)

BENIAMINA. Co czynisz?

BARBARA. Ważę twoje włosy.

BENIAMINA. Moje włosy?

BARBARA. Nie masz nic innego, wszak prawda? a więc pozwól je odciąć.

BENIAMINA. O nie! ty ich nie dotkniesz!

BARBARA (zbliżając się do niej i biorąc w rękę wielkie nożyczki, zawieszone na pasku). A to czemu?

BENIAMINA. Bo w tym kraju, długie warkocze, są dla dziewczyny symbolem zaszczytnym... Moje włosy całą moją ozdobą, moją chlubą... Ty nie zechcesz abym chodziła z głową ogoloną, jakby za karę. Jam uczciwa dziewczyna, nie pozbawiaj mnie mej ozdoby. Błagam cię!

BARBARA. Te błagania wcale mnie nie poruszą.

BENIAMINA (płacząc). O biedne moje włosy... mój Herman tak je lubił.

BARBARA (otwierając nożyczki). Dalejże Beniamino!

SCENA VII.

Też same, HERMAN wchodzi drzwiami z głębi.

HERMAN. Nikczemna! masz zapłatę!...

(Rzuca woreczek Barbarze.)

BARBARA (otwierając woreczek). Jestem więc zapłacona.

HERMAN. A teraz... precz ztąd!

BARBARA (na stronie). Tak, ale powrócę!... powrócę!...

(Wychodzi.)

BENIAMINA (do Hermana). Tyżeś to... mój Hermanie?... Jakżem szczęśliwa, że cię widzę! Ależ jakim sposobem znalazłeś się tu w Münden?

HERMAN. Przybywam do was z dobrą wieścią.

BENIAMINA. Z jaką, mów prędzej?

HERMAN. Otóż tak błagałem ojca mego, że się zgodził wreszcie na nasz związek.

BENIAMINA. Czyż być może?...

HERMAN. Tak, lecz pod jednym warunkiem. Chce aby nie zatrzymując się w Bremii, Colbert popłynął aż do Anglii. Jeśli statek parowy zatryumfuje nad morzem, jak już zatryumfował nad rzeką, próba dostateczną będzie, a ojciec mój zaufany w wynalazku, bez wahania da mi za żonę, córkę wielkiego wynalazcy.

BENIAMINA. Tak! ale czyż Colbert zdoła płynąć po pełnem morzu?

SCENA VIII.

Ciż sami, DYONIZY PAPIN, BURMISTRZ ZEUNER.

DYONIZY. Colbert popłynie, choćby na koniec świata!

HERMAN (wesoło do Dyonizego). A więc spełnisz pan życzenie ojca mego?

DYONIZY. Tak, ojciec twój ma słuszność Hermanie!... Colbert musi popłynąć aż do Anglii, a małżeństwo wasze nastąpi za powrotem.

BENIAMINA (zapłoniona, ukazując Zeunera), Nie sami jesteśmy mój ojcze!

DYONIZY (przedstawiając Zeunera). Moja córko, przedstawiam ci pana Zeuner, burmistrza z Münden. Wypadek zbliżył nas przed chwilą, ale szczera sympatya łączyła nas oddawna, jako starych przyjaciół. (Do Hermana.) Powiedzże mój drogi, ojcu twemu, że gotów jestem popłynąć do Anglii, czekam tylko upoważnienia, abym mógł przeprowadzić statek przez Wezerę.

ZEUNER. Prawo przewozu należy do gildy, lecz ponieważ przewoźnicy, składający ten cech, nie umieją czytać ani pisać, ja sam podpisuję upoważnienia. Szczęśliwy będę, czyniąc zadosyć woli twojej, mój drogi panie Papin.

(Zbliża się do stołu, gdzie są przyrządy do pisania.)

SCENA IX.

Ciż sami, BARBARA, KARL, HANS, PRZEWOŹNICY.

BARBARA. Nie, panie burmistrzu, nie podpiszesz pan tego.

ZEUNER. A to czemu?

KARL. Bo gilda odmawia dla statku pana Papina prawa przewozu przez Wezerę.

ZEUNER. Jakto? Chcecie zatrzymać pana Papina w dalszej podróży?... Ależ to niepodobna!

BARBARA. Sądzicież więc panie burmistrzu, że kto nie ma czem opędzić kosztów podróży, może się puścić w dalszą drogę?

HANS. Kiedy właściciel statku nie może płacić pieniędzmi, płaci zazwyczaj zbożem, drzewem, winem, stosownie do ładunku.

KARL. A wiesz pan co jest w statku Papina? (Naśladuje gwizd pary.) Pszt!... pszt... (Podnosi ramiona w górę.) Ot, para i nic więcej.

DYONIZY. Tak jest, para, to całe moje bogactwo, ale para da mi sławę i majątek!... przewoźnicy! pozwólcież mi odpłynąć... nie chybiłem nigdy słowu memu, a więc zobowiązuję się przysłać wam z Londynu sumę, jaką oznaczycie sami.

KARL. My nie żądamy obietnic, ale pieniędzy.

BARBARA. Tak jest, jak raz Colbert odpłynie, gonić że wiatr po świecie!

HERMAN (do Barbary). Słuchaj kobieto, dałem ci mój woreczek, wszystko co miałem, niechajże tego nie pożałuję. Od wypływu Colberta zależy moje małżeństwo, szczęście moje.

BARBARA. Szczęście drugich! a mnie co do niego?

BENIAMINA (do przowoźników). Od lat dwudziestu ojciec pracuje nad swym statkiem... gdybyście wiedzieli ile trudów, ile poświęceń kosztuje go ta praca! O! nie zatrzymujcie go, błagam was, chcecież zniszczyć najmilsze jego nadzieje, upokorzyć go w miłości własnej, znieważyć jego cześć.

KARL. Niech nam zapłaci a puścim go natychmiast.

BENIAMINA (z rozpaczą). Ależ to niepodobna!

ZEUNER. A więc ja zapłacę za Colberta!

(Szmer pomiędzy przewoźnikami.)

BARBARA. Zachowaj twe pieniądze panie burmistrzu...

ZEUNER. Jest tu jak widzę niechęć do Papina i jego statku.

KARL. Tak, nieinaczej... ten przeklęty wynalazek grozi zgubą przewoźnikom z Wezery...

HANS. Jeśli się uda, musim chyba porąbać i spalić nasze łodzie.

DYONIZY. Ależ ten wynalazek wzbogaci was bracia moi, zamiast odtrącać go jako rzecz niebezpieczną, przyjmijcie go raczej, jako źródło bogactwa i pomyślności!... Pracę wyczerpującą dziś wasze siły spełni kiedyś ta para, przedmiot waszych obelg i klątwy!... Ukorzcie się przed parą przewoźnicy, od rana do zmroku pochyleni nad wiosłem! Ukorzcie się robotnicy styrani krwawą pracą i wy niewiasty, co z takim mozołem przędziecie waszą kądziel, i wy podróżni, co trwożliwym mierzycie wzrokiem daleką metę drogi waszej! Ukorzcie się przed parą włościanie, przemysłowcy i handlarze, pozbawieni środków przewozu dla płodów przemysłu waszego i pracy! Ukorzcie się wy wszyscy, którym krwawy pot ścieka z czoła, przycisnięci nędzą, chłostani wiecznym trudem—para wyswobodzi was! Przyjdzie chwila że człowiek nie będzie pracował jak bydlę wprzężone do jarzma, ale z odwagą i całą potęgą myśli, człowiek rozkazywać będzie, para wypełniać jego wolę. Przewoźnicy! wam ustąpić przed parą, nie wstrzymywać w drodze Colberta i Papina.

KARL. Nie! człowiek co z pary uczynił skarb, musi być chyba czarownikiem! a statek ogniem popychany, to dzieło złego ducha.

BARBARA. Wszyscyśmy poprzysięgli: Colbert nie wpłynie na wodę Wezery!

ZEUNER. A ja przysięgam, że Papin uczciwym jest człowiekiem, że statek jego wynalazkiem cudownym, że Colbert przepłynie wody Wezery! (Podpisuje leżący na stole papier.) Przyjacielu, oto upoważnienie, możesz śmiało odpłynąć.

BARBARA. Gilda potężniejsza od was panie burmistrzu, może rozedrzeć akt przez was podpisany.

(Rozdziera papier.)

ZEUNER. Tak, ale jest siła potężniejsza od gildy, tą jest powaga elektora bawarskiego. Elektor przebywa właśnie na zamku w Münden... śpieszmy do elektora.

WSZYSCY. Tak jest, śpieszmy do Elektora.

(Wychodzą.)

ZEUNER (do Dyonizego). Chodźże mój drogi panie Papin, tobie przystało bronić sprawy twojej przed elektorem.

DYONIZY (do Hermana). Polecam ci Beniaminę Hermanie... czuwaj nad nią.

(Odchodzi z Zeunerem.)

SCENA X.

HERMAN, BENIAMINA.

HERMAN. Czuwać nad tobą! być opiekunem twoim!... O! Beniamino, jakżem ja dumny i szczęśliwy!

BENIAMINA. A ja, zazwyczaj tak trwożliwa, czuję przy tobie dziwną moc i odwagę... bo widzisz, Hermanie, szczęście utrzymuje mnie przy życiu, gdyby spadła na mnie jaka ciężka zgryzota, jabym umarła, pewna jestem.

HERMAN. I jakaż zgryzota może cię spotkać? Ty nie wątpisz o sercu mojem, wszak prawda?

BENIAMINA. Nie wątpię, mój Hermanie. W duszy mojej, jakby w zwierciadle, odbija szczęście przyszłych dni... ale nad przyszłością moją widzę rozpostarty czarny całun... i trwożę się pomimowoli.

HERMAN. Zkądże te myśli smutne, kiedy widnokrąg nasz promienieje nadzieją? Oddalisz się wnet Beniamino, ale moja miłość pojedzie z tobą za morza, a gdy wrócisz, nic nas już nie rozłączy!... Znany ci zwyczaj kraju mego, nakazujący ofiarować narzeczonej wieniec z błękitnych kwiatków.

BENIAMINA. Tak, z niezapominajek!

HERMAN. A więc, zanim się rozłączymy, Beniamino, radbym położyć koronę taką na twem czole. Idąc tu widziałem nad rowem koło ścieżki (pokazuje ręką na prawo) mnóstwo tych drobnych kwiateczków. Oprzyj się na ramieniu mojem, zbierzem ich całą wiązkę.

BENIAMINA (wspierając się o ramię Hermana). Idźmy, Hermanie, zabiorę do Londynu te niezapominajki. Gdy będę smutna, spojrzę na nie, szepną mi coś o tobie i o miłości naszej.

(Wychodzą na prawo.)

(*D. n.*)

DO ALGIERU
przez Hiszpanią i Maroko.

Przez

T. VERNES d'ARLANDES.

Przekład

J. Belejowskiej.

(Dalszy ciąg.)

Świst lokomotywy przerwał jej opowiadanie w najciekawszem miejscu — i kto nie znał don Quichott'a, nie dowiedział się końca przygody rycerza z Manszy.

Nade dniem przebyliśmy górę Sierra Morena, wzdłuż długiego wąwozu, otoczonego z obu stron strasznemi kamieniastemi ścianami, już to przybierającemi kształt cyklopowych kolumn, już to dziwacznie porozstawianych murów, między któremi pociąg się przesuwa, jak uciekający wąż, szukający schronienia. Wkrótce jednak jałowe te i groźne skały, ustępują miejsca pochyłości zarosłej sosnami i dębami, droga ciągnie się teraz przez wąwóz ukwiecony, pokryty zielenią, aż do wybrzeży Gwadalkwiwiru, i tak dochodzi do Korduby.

Tu już widzimy bogate doliny, pokryte plantacyami drzew oliwnych — jesteśmy w Andaluzyi! Jakże nazwa ta mile brzmi w uszach, jak żywo przemawia do wyobraźni! Przyznać jednak muszę iż rzeczywistość nie odpowiedziała w zupełności oczekiwaniu. Wzgórza są zbyt monotonne, wybrzeża rzeki jakieś posępne. Drzewa oliwne sadzone rzędami i obcinane okrągło, zamiast rosnąć swobodnie jak w Nicei lub w Algierze, wyglądają pospolicie jak proste drzewa owocowe. Ale piękne pogodne niebo, wsie i miasta ugrupowane na wzgórzach, uwieńczone kościołami lub obronnemi zamkami, wynagradzają stokrotnie słabe strony krajobrazu.

Stacye bywają teraz coraz częstsze; co krok ukazują się piękne wille z kwiatowemi kobiercami i ulicami osadzonemi laurowemi i cytrynowemi drzewami; wille te okalają płoty z róż i kaktusów. Wysiadamy na dworcu wcale niepokaźnym, jak to zwykle bywa w Hiszpanii — przybyliśmy do Korduby. Ten gród starożytny, ta perła Zachodu, szczęśliwa współzawodniczka Bagdadu i Damaszku, posiadająca kiedyś trzydzieści przedmieść i przeszło tysiąc meczetów, dziś ma jeden tylko nieco znośniejszy hotel i tylko nadzwyczaj zręczny woźnica potrafi dowieść do niego powozem, ocierając nim o mur już z jednej strony już z obu. Lecz zaledwie próg przestąpiwszy, znajdujemy się w pięknym przedsionku z portykiem z białego marmuru, ze ścianami wyłożonemi arabskiemi fajansami — co przekonywa podróżnika, że i koleją można dojechać do krainy swych marzeń.

Jakże pilno mi było obejrzeć to miasto nad miastami, stolicę wielkiego Abd-er-Rahmana. I tu ujrzałem kręte i wązkie uliczki; Korduba, to jakby Toledo przeniesione na płaszczyznę z całym labiryntem wązkich przesmyków, które zdaje się nigdy nie doprowadzą tam, gdziebyśmy iść chcieli. Czysto maurytańska na zewnątrz, Korduba wygląda jakby uśpiona snem letargicznym i przywodzi na myśl jedną z bajek z *Tysiąca i jednej nocy*. Wszystko zdaje się spać w tych małych nagromadzonyżh domkach, pobielanych wapnem jak arabskie groby, tak że nie można odróżnić zbudowanych przed wiekami od ukończonych wczoraj.

Przybywszy do Rzymu, podróżnik nie ma spokoju dopokąd nie zobaczy bazyliki Św. Piotra; przybywszy do Korduby, każdy śpieszy co prędzej do sławnego meczetu, tego największego i najbogatszego pomnika architektonicznego geniuszu Maurów, tego ludu błąkającego się niegdyś po wybrzeżach afrykańskich, który po kilku wiekach doszedł tak wysokiego rozwoju cywilizacyi, czego dowodzą zarówno tak karty dziejów jak pozostałe po nich pomniki. Porzucili namioty i przyszli tu powznosić i zamieszkać wspaniałe pałace, i może bez wielkiego żalu opuścili je aby powrócić do swoich pustyń, mówiąc sobie: „Tak było zapisane!"

Mijamy niezliczoną liczbę wąziutkich uliczek, czysto afrykańskiej powierzchowności; popsuty i powyrywany bruk nadaje im postać łożyska strumienia. Coraz większa liczba napotykanych żebraków, zapowiada że zbliżamy się do meczetu.

Stanąłem nareszcie wraz z przewodnikiem przed bronzową bramą prowadzącą na wielki dziedziniec, na którym dyszą jeszcze wysokie drzewa pomarańczowe o pniach chropowatych, które przeżyte wieki otaczają pewnym majestatem. Utrzymują, że wiele tych drzew pamięta jeszcze czasy arabskie. Z wnętrza tego dziedzińca, inne drzwi bronzowe, zdobne bogatą rzeźbą, prowadzą do meczetu.

Przestąpiwszy próg, zdaje nam się, że wchodzimy do lasu palmowego i że regularnie wysadzone drzewa, wznosząc w górę wysmukłe swe wierzchołki, pochylają ku sobie i łączą gałązki i listki. Lecz gdy pierwsze minęło wrażenie, pomyślałem sobie, że ten okazały, takim lśniący przepychem gmach Abd-er-Ramana, więcej odznaczał się rozmiarami niż prawdziwą wielkością, więcej pięknością i bogactwem niż harmonią i majestatycznością. Chodziłem długo wszerz i wzdłuż w cieniu owych mniemanych drzew, których pnie wyrobione są z jaspisu, onyksu i najdrogocenniejszych marmurów; na wielu z nich porobione są jakieś znaki i krzyżyki, wyryte przez przykutych do ich podstaw chrześciańskich niewolników.

Prawie w środku jednej z bocznych naw, mieści się *mirab* to jest przybytek w którym złożony był Koran. Mury jego pokryte są mnóstwem ozdób arabskich, wykonanych nie w płaskawej wypukłorzeźbie, ale rytych nadzwyczaj delikatnie i naprowadzonych pięknemi, doskonale dobranemi kolorami. Wokoło tajemniczego tego przybytku, pod

sklepieniem lśniącem od złota i lazuru, każdy wierny wyznawca islamu, obowiązany był obejść siedm razy na kolanach, a pielgrzymka ta miała nadzwyczaj ułatwiać mu wnijście do raju.

Rozpoczynając budowę słynnego tego meczetu, Abd-er-Raman oznajmił iż chce dokonać tak wielkiego dzieła, aby na jego widok każdy zawołał, że szalony tylko mógł się pokusić o wzniesienie tak olbrzymiego gmachu.

Długo, długo już chodziłem pod temi niezmierzonemi sklepieniami, zanim dostrzegłem w środku coś niezwykłego, i dopiero podszedłszy tuż blizko poznałem, że jest to kościół chrześciański, bardzo piękny i rozległy, który wznieśli tu zwycięzcy Maurów, dla oddania czci chrześciańskiemu Bogu. Pod wysokiem sklepieniem meczetu, odznaczają się wyniosłe gotyckie łuki kościoła, wnoszącego się majestatycznie w pośród i po nad portykami, które zdają się przygniatać swą imponującą wielkością. Od pierwszego rzutu oka można rozróżnić tak odmienne dążności i pragnienia obu religii.

Ponieważ meczety nie są budowane w celu odprawiania wspólnych modłów i obrządków, nie potrzeba więc zamieszczać w nich jakichkolwiekbądź symboli. Meczet Korduby szeroki dawał przystęp nauczaniu publicznemu. W jednej jego części wykładano filozofią, w drugiej uczono wymowy; w innej znów tłomaczono ustępy Koranu, słuchano wykładu takich mistrzów jak Albert Markar lub Mesalko, doktorów lub astrologów sławnych komendatorów Aristotelesa, wielkich i wybranych umysłów, którzy założyli i umieli utrzymać sławę uniwersytetu kordubskiego.

Katolicki kościół wymaga przeciwnie wielkich naw, licznych i bogatych ołtarzy do sprawowania wielkich tajemnic, a nigdzie może tak przeważnie jak w Hiszpanii, nie starano się budzić pojęcia o wielkości Boga, wielkością Jego świątyń.

Zwiedziłem następnie pałac Azzalira wzniesiony przez Abd-er-Ramana dla sułtanki An-Nasir, który nazwano Wersalem maurytańskim. Tu objawia się w całej pełni zamiłowanie Maurów w kolumnach. Liczono ich tu przeszło pięć tysięcy, z wszelkich istniejących rodzai marmurów i przyznać trzeba, że umiano porozmieszczać je nader efektownie i malowniczo.

Sławny Kalif zbudował jeszcze prześliczną willę na pochyłości góry, w Avri-Zofa, w okolicach Korduby; zwiedzając jej ruiny spotkałem wśród nich jakiegoś pana, twarz osłaniał do połowy *sombrero* jakim był okryty. Widać uważał się za hidalga i jako taki zdawał się jak wszyscy niemal hidalgowie, chodzić dla zabicia czasu, nie chcąc się zająć czemśkolwiek. Zaczęliśmy rozmawiać z sobą i z pierwszych zaraz słów jego poznałem z zadowoleniem, że będzie mógł udzielić mi nader użytecznych objaśnień nietylko co do tej miejscowości ale i do historyi tej prowincyi. Znał doskonale dzieje panowania Kalifów i opowiadał je z największem uniesieniem. Rysy i wyraz jego twarzy zdawały mi się zdradzać pochodzenie arabskie; wogóle w Andaluzyi nikt nie chce przyznać się do tego, że w żyłach jego płynie krew maurytańska, on jednak oświadczył mi wręcz, że jest potomkiem tego wielkiego ludu i że dotąd przechowuje w bibliotece egzemplarz Koranu, na którego marginesach jeden z naddziadów jego własnoręczne popisał uwagi.

Odziedziczył także po przodkach zamiłowanie w allegoryach, jakiemi ludy Wschodu po dziśdzień się posługują, chcąc powiedzieć prawdę wielkim i możnym.

— Taki sposób wyrażania się, rzekł mi, nader odległych sięga czasów; dowodem tego Biblia i Koran naśladujący w tem Stary Testament. Gdy Dawid porwał Betsabę a Uriasza wysłał na wojnę w której miał zginąć, przybył do niego prorok Natan i opowiedział mu allegoryczną przypowieść „o owcy nędzarza".

— Znam tę przypowieść, odpowiedziałem, ale czy nie mógłbyś pan opowiedzieć mi jakiejś zaczerpniętej z historyi i literatury maurytańskiej, tak obfitujących w cudowne opowieści i allegorye?

— Mogę nawet opowiedzieć panu odnoszącą się do tej właśnie miejscowości:

„Kalif Korduby, Al-Mansur, zwany zazwyczaj Abd-er-Ramanem, zapragnął powiększyć swoje ogrody, przy końcu których stała szpecąca je chatka biednej wdowy. Posłał tedy do niej kogoś ze swego dworu, z oznajmieniem że chce kupić jej posiadłość, ale odmówiła mówiąc iż od czterech przeszło wieków w ziemi tej grzebani byli jej naddziadowie, uważałaby więc sobie za świętokradztwo przedawać groby przodków. Nie zważając na tę odmowę, kalif zagarnął grunta i kazał zbudować na niej wspaniały pawilon. Wdowa zaniosła skargę do kadego. Trudna to była sprawa, ale kady był poczciwy i rozumny. Wsiadł tedy na osła i pojechał do kalifa, który właśnie był w nowym pawilonie, licznym otoczony dworem.

— Czego żądasz? — zapytał kadego, który zsiadłszy z osła, ukląkł przed nim padając twarzą na ziemię.

— Przychodzę błagać o łaskę.

— O jaką?

— Abyś mi pozwolił napełnić ten worek ziemią z twojego ogrodu. — I jednocześnie wskazał próżny worek, przewieszony na lewej ręce.

— Takiej tylko żądasz łaski — odrzekł kalif śmiejąc się, a nabierz sobie ziemi ile tylko zechcesz.

Kady zabrał się do roboty, a gdy już napełnił worek, rzekł z poufałością, która na Wschodzie łączy się często ze służalstwem:

— Światłości wiernych! dopełnij miary twej wspaniałej hojności i dopomóż mi umieścić ten worek na moim ośle.

Kalif śmiejąc się zeszedł ze schodów pawilonu i objąwszy worek silnemi rękami, chciał unieść go od ziemi, ale pomimo wysileń nie mógł tego dokazać.

Wtedy prostując się, kady rzekł surowo z majestatyczną powagą.

— Władzco, jeśli nie możesz unieść tego worka, w którym jest tylko trochę ziemi, jakże zdołasz stanąć przed Bogiem z tą całą ziemią, którą wydarłeś biednej wdowie?

Al-Mansur był w gruncie dobry człowiek, oddał więc biednej wdowie nietylko jej grunt ale i wspaniały pawilon ze wszystkiemi bogactwami jakie zawierał."

Podziękowałem uprzejmie potomkowi Maurów, za jego piękną przypowieść.

(D. c. n.)

NOWE WYDAWNICTWA.

Wyszła z druku książka pod tytułem *Badania porównawcze w dziedzinie języka*, przez L. Szczerbowicza-Wieczora, do nabycia w Warszawie w księgarniach Gebethnera i Wolffa i Maurycego Orgelbranda, w Płocku u autora. Cena z przesyłką rs. 1 kop. 50.

Elementarz Kazimierza Promyka na którym naczysz się czytać w pięciu lub ośmiu tygodniach, wyszedł z druku w ośmnastem wydaniu, co jak u nas pierwszy raz zapewne ma miejsce. Tym sposobem rozeszło się go już 145,000 egzemplarzy. Jakże to wielce pocieszające!

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Za staraniem ks. Syroczyńskiego, podkustosza katedry ś. Jana, układają obecnie nową posadzkę marmurową w prezbiteryum i w chórze. Przy tej restauracyi dostrzeżono że sklepienie grobów osunęło się w jednem miejscu, i z tego powodu postanowiono zbadać całe podziemia kościelne, znane czytelnikom ze sławnego poematu J. Słowackiego, p. t „Kordyan". Groby archikatedry przedstawiły obraz strasznego opuszczenia: przyprowadzenie całego tego państwa umarłych do porządku, wymagałoby znacznych kosztów, na które zarząd kościoła żadnych nie ma funduszów, a składki pobożnych może nawet na ułożenie posadzki nie wystarczą. Ufny w ofiarność wiernych, niezmordowany w pracy około restauracyi starożytnej naszej świątyni ks. Syroczyński, postanowił choć część grobów uporządkować, co oprócz kosztów wiele jeszcze wymaga pracy. W jednej szczególnie części znaleziono porozrucane i porozbijane trumny, oraz stosy kości ludzkich i strzępy z odzieży. W miejscu tem kiedyś szukano broni naruszając spokój umarłych i ztąd powstało tak okropne spustoszenie. Zebrane szczątki mają być pochowane w jednym wspólnym grobie, po odprawieniu żałobnego nabożeństwa. W innych częściach podziemi trumny drewniane, złożone tu przed stu przeszło laty, doskonale się przechowały, nawet napisy na niektórych odczytać można. Od lat stu zaprzestano chować tu zwłoki osób świeckich, zachowując groby wyłącznie dla księży. Jakkolwiek w grobach katedralnych niewiele spoczywa zwłok osób znanych w historyi, wszakże obowiązkiem jest żyjących ratować od zagłady to od tylu wieków istniejące państwo umarłych.

*** Piszą ze Lwowa że dnia 6 b. m. przybył do Lwowa Jan Matejko, i zaraz nazajutrz, przed samem posiedzeniem Sejmu, udał się do marszałka Zyblikiewicza i złożył w ręce jego akt, mocą którego, wielki obraz swój „Hołd pruski" ofiarowuje na ozdobienie jednej z sal mającego zostać odnowionym zamku na Wawelu. Marszałek przybywszy na posiedzenie, zaraz urzędownie Sejm o tem zawiadomił. Wiadomość tę przyjęto głośnemi oklaskami, trwającemi nieprzerwanie przez kilka minut, poczem zabrał głos sędziwy prezes koła polskiego w wiedeńskiej Radzie Państwa, p. Kazimierz Grocholski, i w serdecznych wyrazach podziękował wielkiemu artyście w imieniu posłów i całego kraju, wyrażając w końcu nadzieję że wspaniały ten dar przyśpieszy restauracyą zamku Wawelskiego. Na wniosek Grocholskiego, Izba poselska jednogłośnie upoważniła marszałka do złożenia podziękowania mistrzowi. Wiadomość

ta szybko rozbiegła się po mieście, nazajutrz miał miejsce obiad u marszałka i korowód z pochodniami na cześć Matejki.

*** Niektóre pisma donoszą że znowu poruszoną została ważna sprawa regulacyi Wisły, i niezadługo mają być przedsięwzięte studya do niej przygotowawcze. W tym celu w granicach naszego kraju przestrzeń rzeki ma być podzieloną na trzy dystanse. Pierwszy, największe przedstawiający trudności, ciągnąć się będzie od ujścia Sanu, po za Zawichostem, aż do twierdzy Iwangrodzkiej (Dęblina). Drugi od miejsca tego do Warszawy; trzeci od Warszawy do granicy aż pod Nieszawę. Dla ułatwienia studyów i robót przygotowawczych, użyte być mają trzy statki parowe, będące własnością ministeryum komunikacyi. Po przygotowaniu dokładnych planów sytuacyjnych, odnośne projekta przedstawione zostaną do ministeryum, dla wyjednania funduszów potrzebnych na dokonanie regulacyi.

*** Piszą do „Kuryera Wąrsz.": dnia 30 z. m. w przerobionym teatrze krakowskim dano pierwsze przedstawienie, rozpoczynając otwarcie zamkniętego od połowy stycznia teatru, dramatem przerobionym z historycznej powieści J. I. Kraszewskiego: „Stara baśń". Całe przedstawienie owiane było czarem ludowej poezyi; każdy akt kończy się ślicznym obrazem. Kostiumy nowe i piękne, gra artystów wogóle dobra, a niektóre szczególniej role doskonale były odegrane. Osnowa dramatu wielkie wywarła wrażenie, co uwydatniło się szczególniej w scenach takich jak wróżba, chrzest i postrzyżyny, wybór Piasta, śmiertelna biesiada stryjów Popiela, obrona chramu przed napadem Sasów, Pomorców, porwanie Dziwy i t. p. Sceny te budziły żywe, poważne i uroczyste wzruszenie — i nie dziw, po raz pierwszy ukazano na scenie całą legendę narodzin...

Sztuka ta niewątpliwie pozostanie na stałe w repertuarze, i ma także przedstawioną być we Lwowie i w Poznaniu, oraz w Pradze przełożona na język czeski. Autor umiał nadać sceniczną plastyczność osnowie znakomitej powieści, która nie straciła na przerobieniu — dzięki temu iż nie trzymając się toku opowiadania, umiał temat jej wyzyskać i do wymagań sceny zastosować. Dramat ten na scenie nie jest prostem przedstawieniem tylko, ale jest jakby świętem, jakby czarodziejskiem przeniesieniem publiczności w światy idealne, a przecież takie swoje, takie drogie... A tyle tam mądrości w wątku tej sztuki, mądrości tak żywej i porywającej.

*** Z powodu ofiarowanego przez grono tutejszych obywateli (z inicyatywy p. Mathiasa Bersohna) do Muzeum Kopernika w Rzymie, znanego obrazu Aleksandra Lessera: „Ostatnie chwile Kopernika," jeneralny konsulat włoski otrzymał polecenie od ministra spraw wewnętrznych, złożyć ofiarodawcom podziękowanie w imieniu rządu włoskiego, i zarazem oznajmić im, że obraz ten został zamieszczony w temże Muzeum i zostanie opatrzony stosownym podpisem.

*** W Bawaryi nad Menem, pod Aschaffenburgiem, leży miasteczko Klingenberg, prawdziwy raj dla jego mieszkańców. Miasteczko to posiada bardzo znaczne dochody z należących do niego kopalni gliny, nietylko więc nie potrzebuje pobierać podatków miejskich, ale nadto jest w możności wypłacać każdemu ze swych obywateli po 100 marek rocznie. (Około 50 rs. podług obecnego kursu.) Przy odbytem przed kilku laty poświęceniu mostu na Menie, którego budowa kosztowała 200,000 marek z funduszu kasy miejskiej, miasto tytułem gratyfikacyi wypłaciło każdemu obywatelowi po 10 marek, a każdemu dziecku chodzącemu do szkół po 50 fenigów. To mi miasto, to mi raj!...

*** Zmarł niedawno w Nowym-Yorku adwokat Ryszard Stanch, który wielkie położył zasługi przez opiekę jaką otaczał ziomków naszych, tułających się na ziemi amerykańskiej. Należał do stowarzyszenia opieki nad wychodźcami od lat pięćdziesięciu i do końca życia troskliwie się nimi zajmował i wielkie oddawał usługi.

*** Kandydatką na gubernatora Kalifornii jest niejaka pani I. W. Stow, redaktorka „Woman's Herald of Industry". Jak na Amerykę to nic jeszcze, ale i tam chyba żaden kandydat do jakiejbądź godności, nie ogłosił podobnej proklamacyi jak wspomniana kandydatka. Oto mały z niej wyjątek:

„Ta niemoralna, czysto męzka służba w naszym kraju, tak jest zanieczyszczoną przez brudy stronnictw i tak obciążoną skutkami przedajnych postępków, że konieczną jest na czele rządu dzielna gospodyni z miotłą i ścierką, aby wymieść wszystkie śmiecie przez tyle czasu nagromadzone."

Pani I. W. Stow jest prezydentką „Social science sisterhood" w San-Francisco. Zdaje się że byłby to gubernator, któremu nikt chyba nie zarzuciłby braku energii.

*** Inżynier wiedeński Schall wynalazł przyrząd swobodnego poruszania się wśród ognia, składający się z wewnętrznego nieprzemakalnego okrycia i drugiego zewnętrznego do którego za pomocą osobnego przyrządu, napływa nieustannie woda.

Skutkiem porowatości zewnętrznego okrycia, woda ustawicznie przeciska się przez materyą, broniąc tym sposobem przystępu płomieniom. Potrzebne powietrze prowadzone przez rurkę umożebnia oddychanie, a zimny prąd powietrza chroni oczy od żaru.

W przeszłym miesiącu odbyły się próby z tym przyrządem w Poznańskiem. Ułożono pięć stosów drzewa na obszernym placu z kloców sosnowych mających dziewięć stóp wysokości, i ułożonych w ten sposób, że stanowiły uliczkę; stosy oblano naftą i podpalono. W uliczkę tę wszedł pan Schall opatrzony swym przyrządem i w mgnieniu oka ogarnięty został przez płomienie. Wchodził i wychodził z ognia, zostając w nim niekiedy po trzy minuty i wykonywając rozmaite czynności. Przewróciwszy w połowie dwa stosy, na pozostałej części usiadł na ogniu, opierając się plecami o palący się stos, wyciągając z ognia palące się głownie i kierując otwór idącego od sikawki węża na najwięcej rozżarzone miejsce, aby tam ogień ugasić. Publiczność ze zdumieniem przyglądała się niezwykłemu widokowi, podziwiając skuteczność przyrządu, hucznemi oklaskami oznajmiając swe uznanie wynalazcy przyrządu.

*** Oświetlenie elektryczne, tak mało gdzie i tylko prawie sposobem próby zaprowadzone w Europie, coraz więcej rozpowszechnia się w Ameryce. Od pewnego czasu zawiązało się w Nowym Yorku towarzystwo, które w całej jednej dzielnicy wyrugowało gaz nietylko z ulic ale i z miasta. Obecnie 946 lokali oświetlonych tam jest światłem elektrycznem, do czego użyto 14,311 lamp, od 8 do 16 płomieni, których światło razem wzięte równa się 777,816 świecom woskowym. Główny gmach dwupiętrowy w którym mieszczą się maszyny wytwarzające elektryczność, zbudowany został całkiem z żelaza, na murowanych i betunowanych fundamentach. W suterenach mieszczą się cztery kotły, każdy o sile tysiąca koni (t. j. sile mogącej co sekundę podnieść na wysokość metra ciężar 75,000 kilogr. 1,500 centnarów. Oprócz tego urządzono tam pompy wodne, maszyny do wciągania i rozdzielania węgli, jakoteż wyrzucania popiołu.

Na pierwszem piętrze, umieszczono 12 maszyn do wytwarzania elektryczności, połączonych z kotłami, każda o sile 200 koni, rozmaite przyrządy i regulatory do mierzenia elektryczności. Wszystkie maszyny i przyrządy umieszczone w tym gmachu, ważą 430 ton (8,600 centnarów). Do wytworzenia potrzebnej siły, kotły zużywają w ciągu roku 1680 ton węgli i 4,200,000 galonów (19 milionów litrów) wody.

Gmach ten centralny nietylko połączone z nim lokale oświetlać będzie, albowiem dostarczana przezeń elektryczność może być dowolnie zużytkowaną do poruszania rozmaitych maszyn i t. p.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 6 Октября 1882 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

WALKI ŻYCIA.

PRZEMYSŁOWIEC.

Przez

Jerzego Ohnet.

(Przekład z francuzkiego.)

(Dalszy ciąg.)

Masz słuszność, cioteczko, najzupełniej pochwalam twoje postanowienie i przyznaję że go się spodziewałem... Jednak uważałem sobie za obowiązek, w razie żądania ofiarować ci moje pośrednictwo... Co bądź się stanie, wam piękna przypada rola, bo choćby nie raz przyszło wam zapłakać w skrytości, łzy te nie uczynią wam ujmy. Nie da się powiedzieć tego o Gastonie de Bligny.

Dał się słyszeć odgłos prędkich kroków, odbijających się o kamienne schody i gwar wesołej rozmowy. Klara i Oktawiusz, wprowadzeni w dobry humor przez żywą jak iskra baronową, gawędzili i śmieli się wesoło. Roztwarły się drzwi salonu, i młoda baronowa wpadła do salonu jak wichura, poprzedzając kuzynów.

— A toż co! siedzicie po ciemku! zawołała; tak tu ponuro i czarno jak gdybyście rozmawiali w grobie... tak ciemno iż chyba nie słyszycie co mówicie... Cioci droga, psujesz nas niesłychanie... tak mnie jak baronowi przeznaczyłaś najpiękniejszy apartament w pałacu... tak nam będzie miło i dobrze, iż gotowiśmy na długo w nim pozostać.

— I owszem, kochane dziecię; ale długa jazda koleją pewnie zaostrzyła wasz apetyt — czas pomyśleć o obiedzie.

W tejże chwili, jakby odpowiadając na słowa margrabiny, drzwi sali jadalnej roztwarły się na rozcież, przy jasnem jej oświetleniu ukazały się oszklone pułki zastawione starą porcelaną i kosztownemi srebrnemi serwisami, a jednocześnie służący rzekł poważnie:

— Pani margrabino, podano obiad.

VI.

Na drugi dzień po przyjeździe baroncstwa de Préfont, jakby dla sprawienia jakiejś rozrywki młodej baronowej, której pobyt na wsi zdawał się być bardzo nudnym, przybył do pałacu pan Derblay z siostrą.

Mieszkańcy Beaulieu siedzieli pod wielkim namiotem, rozkoszując się urokiem jednego z tych pięknych dni październikowych, ostatnich uśmiechów roku mającego niebawem stać się posępnym i mroźnym. Ptaki, zwiedzione ciepłem słonecznem, jakby wśród lata wesoło świergotały w gęstwinie; na tarasie połyskującym świecącym piaskiem dwa młode kosy z żółtemi dziobkami wiodły sprzeczki o okruszyny chleba, które baron rzucał oknem z sali jadalnej. Margrabina, owinięta w szale, słuchała z roztargnieniem rozmowy Klary i baronowej, wspartych o balustradę z różowego granitu. Baron, rozparty poważnie w bujającym się fotelu, puszczał powoli w górę kłęby dymu ze swego cygara. Młody margrabia na kartce swego notesiku rysował cichaczem wdzięczne postacie młodych kobiet, rysujące się na jasnem tle horyzontu. W małym tym zakątku panował niezakłócony spokój; powoli ogarnęło wszystkich jakieś rozkoszne znużenie, ubezwładniające ciało i umysł.

Nadejście służącego którego kroki skrzypiały po piasku, zbudziło wszystkich z tej fizycznej i moralnej senności. Margrabina otworzyła oczy, Klara i baronowa odwróciły głowy; margrabia prędko rysunek swój schował do kieszeni. Sam tylko baron, nie lubiący poruszać się niepotrzebnie, zaledwie nieco poruszył głową.

— Pan i panna Derblay zapytują czy pani margrabina raczy ich przyjąć, rzekł służący.

Usłyszawszy te słowa, Klara zmarszczyła nieco brwi; nie podobało jej się że w jej domu wymówiono nazwisko człowieka, który, odgadywała to instynktowo tak mocno jest nią zajęty. W sercu jej powstało jakby przeczucie że ten przybysz wywrze pewien wpływ na jej życie, i naprzód już oburzała się na to. Gorzkie jakieś uczucie powstało w jej duszy — było to jakby pewne nieokreślone pojęcie jej opuszczenia. I pomyślała sobie: jak ów pan Derblay śmie przybywać do pałacu, po jawnych choć nieśmiałych i pełnych uszanowania oznakach swego dla niej uwielbienia.

Wprawdzie Bachelin zapowiedział jego przybycie, szło o załatwienie jakiejś sprawy granicznej— ale nie byłże to tylko pozór? Może człowiek ten był tak zuchwałym, iż dowiedziawszy się że książę ją zaniedbuje, powziął zamiar zbliżenia się do niej? Niewyraźne te myśli w ciągu sekundy przesunęły się w jej umyśle i stały się podstawą jej niechęci do Filipa.

— Przyjmij go, przyjmij, cioteczko droga! zawołała baronowa; tak ciekawa jestem poznać tego przemysłowca! Będziem się nim bawić, a siostrę wybadamy o wszystko co się dzieje w okolicy. Może ubiera się w strój miejscowy — ach! jakby to było zabawnie!

— Ależ, moja droga ani myślałam go nie przyjmować, odrzekła z uśmiechem margrabina — a zwracając się do oczekującego służącego, dodała: Poproś tu pana i pannę Derblay.

Po chwili otworzyło się wielkie balkonowe okno salonu, i Filip z siostrą ukazał się na peronie. Promień słońca ozłocił śniadą męzką twarz jego; poważny spokój cechował całą jego postać. Siostra jego miała na sobie skromną sukienną granatową suknię; opierała się na ramieniu brata; twarzyczka jej zdradzała pewien niepokój i wzruszenie połączone jednak z jakąś stanowczością; wlepiła w brata swoje śliczne wielkie oczy, jakby pragnąc dodać mu odwagi.

Margrabina wstała aby powitać przybyłych.

Filip skłonił się z uszanowaniem i wyszeptał kilka słów niezrozumiałych, których nieład i pomięszanie wywołały nieznaczny uśmiech na usta wielkiej pani; poczem ująwszy dłoń Zuzanny, rzekła uprzejmie:

— Miło mi widzieć was oboje w moim domu.

Filip podniósł pochylone czoło mówiąc z żywem wzruszeniem:

— Nie umiem dość podziękować pani margrabinie za tak łaskawe przyjęcie mnie i siostry mojej, którą pozwoliłem sobie przyprowadzić. Biedne dziewczę wzrosło pod moją wyłącznie opieką, pozbawiona rad i starań matki... Potrzebuje więc bardzo kierunku i dobrej rady, a któż udzieliłby jej mógł zbawienniejszych jak pani margrabina, gdybyś raczyła zająć się nią łaskawie.

Pani de Beaulieu spojrzała uważniej na Zuzannę, i uderzyła ją śliczna jej twarzyczka, tchnąca niewinnością i prostotą.

— Chodźże, moje dziecię, niech cię pocałuję na zadatek naszej znajomości — i dotykając ustami jej czoła, rzekła zwracając się do Filipa: Otóż podpisałam zgodę na czole tego dziewczęcia. Wszystkie grzechy są ci odpuszczone, panie sąsiedzie, a teraz chodźcie, chcę przedstawić was mojej rodzinie... I wskazując nadchodzącego Oktawiusza, dodała:

— Mój syn, margrabia de Beaulieu.

— Co do mnie, mamo, przedstawienie jest zbytecznem, rzekł uprzejmie Oktawiusz podając rękę Filipowi, poznaliśmy się już z panem Derblay. Do licha! kochany sąsiedzie, biegasz jak szybkobiegacz; skoro zechcesz uciekasz tak prędko, że nawet twoje zające które chybiam tak doskonale, dogonić cię nie mogą.

— Przebacz, panie margrabio, że nie powiedziałem kto jestem, odrzekł z uśmiechem Filip— ale zdawało mi się że nie był pan zbyt przychylnie względem mnie usposobiony, i dla tego obawiałem się zdradzić moje incognito.

— Bah! wtedy znałem pana tylko ze sprzeczki zaszłej między nami o prawo polowania — teraz rzecz inna — spodziewam się że będziemy przyjaciołmi... Proszę zrób mi pan tę przyjemność i chciej przedstawić mnie pannie Derblay.

Urok Zuzanny zaczynał oddziaływać na Oktawiusza; zbliżył się do niej i zaczął rozmawiać z żywem zajęciem. Jednocześnie pani de Beaulieu zwróciła się do baronowej i do Klary i rzekła przedstawiając Filipa.

— Pan Derblay, właściciel kuźnic w Pont-Avesnes— a następnie wskazując mu obie, dodała: pani baronowa de Préfont, moja siostrzenica, panna de Beaulieu, moja córka.

Mocny rumieniec wystąpił na twarz Filipa; nie śmiejąc spojrzeć na przedmiot swego uwielbienia, tak głęboko skłonił się przed Klarą, iż mogło się zdawać że myśli uklęknąć.

— Ależ, moja droga, zupełnie wygląda na pana, szeptała Klarze do ucha baronowa. A ja wystawiałam sobie że chodzi w skórzanym fartuchu i ma w uczuchranych włosach opiłki z żelaza... Boże odpuść! ma nawet order — a baronowi dotąd go nie dano... Prawda że pod obecnym rządem... No! zawsze to rzecz nadzwyczajna!... Widocznie nie kuje młotem... Ale spojrzyjże na niego... to rzecz nie do uwierzenia... jest bardzo dobrze... a jakie śliczne ma oczy!...

Klara dotąd odwracająca głowę, orzuciła Filipa ostrem spojrzeniem. Głuchy gniew nią miotał; chętnie wypowiedziałaby zuchwalcowi jakieś ubliżające słowa — niechże choć w jej spojrzeniu je wyczyta. Wysoki jego wzrost i silna budowa wydały jej się nadzwyczaj ordynarne — wszystko w nim nie podobało jej się i raziło, nawet ciemny

ubiór nadający mu poważną i surową minę. Jednocześnie, jakby w przelotnem widzeniu, ujrzała szczupłą, elegancką postać księcia de Bligny; jego ściągłą twarz, ciemno-szatyn włosy, piękne niebieskie oczy i ładne wąsiki. Jakaż to rażąca zachodziła sprzeczność między stojącym przed nią Filipem, a nieobecnym, oczami duszy widzianym Gastonem! Jeden, w swej silnie zbudowanej postaci, uosabiał zdrową, silną rasę mieszczańską, drugi był najdoskonalszym typem wykwintnego wdzięku zniewieściałej nieco arystokracyi.

Pod tem spojrzeniem Klary Filip stał zmieszany, jakby przykuty do miejsca: daremnie, pragnąc uniknąć nieprzyjaznej obserwacyi, chciał postąpić parę kroków i zbliżyć się do margrabiego rozmawiającego z Zuzanną, aby czuć obok siebie kogoś życzliwego — nie mógł ruszyć się z miejsca. Machinalnie spojrzał po sobie, i nagle wydał się sam sobie ciężkim, niezgrabnym, trywialnym. Z goryczą w sercu porównał się z baronem i młodym margrabią tak swobodnie noszących eleganckie ubiory od najlepszego krawca i wtedy czarny tużurek jego zrobiony przez prowincyonalnego majstra, wydał mu się potwornym. Pomyślał jak śmiesznie i ordynarnie musi wyglądać stojąc tak z wysokim kapeluszem w ręku, i serce ścisnęło mu się boleśnie.

W tej chwili oddałby chętnie dziesięć lat życia gdyby mógł być tak ubranym i mieć tak swobodne i eleganckie ruchy, jan baron i Oktawiusz. Mówił sobie że Klara nigdy nie będzie mogła zapomnieć jak niekorzystnie przedstawił jej się przy pierwszem spotkaniu, że więc nazawsze pozostanie w jej pamięci to zgubne dla niego wspomnienie. I tu zmierzył dokładnie w myśli odległość dzielącą właściciela kuźnic w Pont-Avesnes, od chociażby najwięcej zrujnowanej margrabianki de Beaulieu — i z bezbrzeżną rozpaczą w duszy wyrzucał sobie iż jest tak szalonym że podniósł oczy tak wysoko jak chyba marzeniem dosięgnąć zdoła.

Głos Oktawiusza wyrwał go z osłupienia.

— Kochany panie Derblay, mówił młody margrabia, jest tu ktoś co zdoła dotrzymać ci placu w kwestyach odnoszących się do przemysłu, kuzyn mój, baron de Préfont, uczony...

— O! powiedz raczej uczący się, odrzekł łagodnie baron... Pole nauki jest tak rozległe iż zaledwie maleńką jego cząstkę poznać mogłem...

Przychodząc do siebie, Filip oczami szukał panny de Beaulieu. Wstała powoli i przechadzała się z baronową po tarasie, strącając machinalnie parasolką kwiaty pnącej róży, otaczającej balustradę swemi zwojami. Westchnął i odrywając wzrok od jej uroczej postaci, rzekł do barona:

— Nie pierwszy to raz słyszę wymówione nazwisko pana de Préfont...

A gdy baron chciał zaprotestować, grzecznie dodał:

— Czy czasem pan baron nie jest autorem znakomitej pracy o cementacyi? Ja także bardzo zajmowałem się tą ważną kwestyą i z wielkiem zajęciem czytałem sprawozdanie przedstawione Akademii nauk.

— Oho! baronie, zawołał wesoło Oktawiusz, nie spodziewałeś się że tak dobrze jesteś znany w naszych górach?... No, mój drogi, jesteś na drodze do sławy; nazwisko twoje przedarło się aż do głębi wsi, a więc do starej twojej dewizy: *Fortis gladio* dodać trzeba: *et penna*. A nie myśl że żartuję... naśladowałbym cię chętnie, gdybym zdołał...

Ale baron nie wiele zwracał uwagi na słowa młodego margrabiego — uszczęśliwiony że spotkał kogoś umiejącego go zrozumieć, wdał się w uczoną rozprawę o topieniu stali — nawet interwencya baronowej nie zdołałaby oderwać go od ulubionego przedmiotu rozmowy. Zwykła mu angielska sztywność, zamieniła się w żywe uniesienie. Uderzał w ręce naśladując odgłos maszyn, dla popierania swoich dowodzeń, robił różne giesta i w zapale ujął pod rękę p. Derblay, jak gdyby bojąc się żeby mu nie uciekł.

Ale Filip nie miał najmniejszej ochoty unikać natarczywej poufałości barona, owszem starał się ją podniecać, szczęśliwy że znalazł nadspodziewanego sprzymierzeńca, w domu w którym czuł się tak obcym. Baron był w siódmem niebie, mówił bardzo wiele nazywając Filipa „kochanym panem" czego nie powiedziałby komuś innemu nawet po paromiesięcznej znajomości. Wspólne dochodzenia naukowe połączyły i zbliżyły ich z sobą, jakby dwóch wolnych mularzy, którzy przy podaniu ręki na powitanie, zamienili z sobą tajemnicze znaki.

— Więc pan sam wydobywasz i przerabiasz kruszec? jakże zajmującą musi być podobna praca! Muszę przyjść jutro rano do Pont-Avesnes, obejrzeć zakłady pana; iluż zajmujesz robotników?

Dwa tysiące, odpowiedział Filip.

— Śliczna rzecz! a ileż jest wielkich pieców?

— Dziesięć, w których ogień przez cały rok płonąć nie ustaje. Zobaczy pan mój wielki młot, waży 40 tysięcy kilogramów, a funkcyonuje z taką dokładnością, że możnaby skierować go na jaje, a dotknąłby go nie tłukąc skorupy.

— Ależ z takim przyrządem mógłbyś pan współzawodnić choćby nawet z Creuzot'em.

— Czemuż nie; ta tylko zachodzi różnica że co on wytwarza w olbrzymich rozmiarach, my dokonywamy na małą skalę.

— Ach! kochany panie, jakże się cieszę z naszego spotkania, zawołał baron z radością... Zamierzałem w końcu tygodnia jechać z baronową do Szwajcaryi — ale, pal licho tę podróż!... Zostanę tu... wszak pojmujesz pan?... będziem dokonywać różne doświadczenia... Wszak ma pan laboratoryum? A! prawda, jakżeby nie!... wszak jesteś pan chemikiem?... Tak!... a to wybornie!... Jesteś najmilszym człowiekiem jakiego kiedykolwiek spotkałem.

I wziąwszy pod rękę Filipa, zaczął z nim chodzić po tarasie.

— A toż co się znów stało memu mężowi! zawołała baronowa; patrz tylko Klaro.

— Nic się nie stało, kochana kuzynko, odrzekł wesoło Oktawiusz, tylko wjechał na swój ulubiony przedmiot i przyprzągł do niego pana Derblay.

— No, to trzeba powstrzymać barona, bo mógłby się przegalopować, rzekła baronowa.

— A i pocóż go zatrzymywać? odrzekł margrabia. Czy masz co do nadmienienia, kuzynko, przeciw zbrataniu się barona de Préfont z panem Derblay? Mąż twój, jako potomek walecznych rycerzy, jednoczy w swej osobie dziesięć wieków wielkości i sławy wojennej; pan Derblay, syn przemysłowca, przedstawia wiek jeden, jedyny, który wytworzył parę, gaz i elektryczność. Co do mnie, przyznaję że pochwalam i podziwiam to nagłe porozumienie się dwóch ludzi, jednoczących w tej poufałości opartej na wzajemnym szacunku, co kraj czyni wielkim i potężnym: chwałę przeszłości z postępem tegoczesnym.

— Widać że jesteś adwokatem, kochany Oktawiuszu, bo ślicznie mówisz, odparła baronowa—ale pozwól powiedzieć sobie, że jak na syna swego ojca, wydajesz mi się trochę za wielkim demokratą.

— Ależ, kuzynko, odrzekł śmiejąc się młody margrabia, demokracya ogarnia nas ze wszystkich stron; nie pozostaje nam więc jak w niej samej wytworzyć arystokracyę. Aby dojść tego celu, weźmy mierność za miarę, a pod nad nią stawmy wszystko jakąkolwiek mające zasługę. Tym sposobem stwórzymy arystokracyę zasługi i zdolności, jedyną jaka godna jest zastąpić arystokracyę z urodzenia. Zresztą tak postępując, wstąpimy w ślady naszych przodków. Czyż sądzisz, kuzynko, że protoplaści naszych rodów urodzili się szlachtą?—bynajmniej, wyniesienie swe po nad innych zawdzięczali swej osolistej odwadze. Pierwszy z Préfont'ów nazywał się po prostu Gaucher — co jednak nie przeszkadzało mu być nadzwyczaj odważnym, skoro uchodził za dzielnego wojaka. Otrzymawszy szlachectwo w nagrodę za świetne czyny wojenne i zbogaciwszy się łupami zdobytemi na wojnie, po powrocie z Palestyny, przybrał nazwisko kupionej majętności. Tak więc, kochana kuzynko, tylko z łaski kapitana Gaucher jesteś baronową. I dla czegoż mielibyśmy odmawiać dziś ludziom dorównywającym pewnie wartością twemu naddziadowi, prawa wywyższenia się?... Dawniej mówiono: Cześć i chwała najdzielniejszym wojownikom!... my wołajmy dziś: Z drogi rozumnym!

— Ślicznie pomyślane i ślicznie powiedziane, panie margrabio; a panią baronową przepraszam jak najmocniej iż staję po stronie jej przeciwnika, odezwał się głos z za krzaku.

I jednocześnie na końcu tarasu ukazał się Bachelin, czerwony ze zmęczenia, z kapeluszem w ręku, z portfelem pełnym papierów pod pachą.

— Aha! w sam czas przybywasz, panie Bachelin, zawołała wesoło baronowa. Już to wy wszyscy sądownicy należycie do tak zwanego Tiers-Etat; a rewolucyę wyraźnie zrobiono dla waszej korzyści. Ale pojawiłeś się jakby zły duch z jakiejś otchłani — którędyż tu przyszedłeś?

— Przybywam z La Varenne; karbriolet zostawiłem przy bramie, a sam przeszedłem przez park... ach! najmocniej przepraszam... I zwracając się ku margrabinie nadchodzącej z Zuzanną, zawołał: Moje uszanowanie pani margrabinie... witam panią Zuzannę... Jakiż to straszny dziś upał... Śpieszyłem się bardzo, aby zastać jeszcze pana Derblay... ale zmuszony byłem ułożyć i podpisać akt bardzo ważny — który, doprawdy wiele mi krwi napsuł... Szło o sprzedaż la Varenne pani margrabino.

— Ach! więc państwo d'Estrelles znaleźli nareszcie nabywcę? zapytał margrabia.

— A znaleźli, odrzekł Bachelin, i doprawdy zapłacił wymarzoną cenę. Postanowił sobie bądź co bądź nabyć te dobra.. Zapłacił co najmniej o jedną trzecią więcej [illegible] choćby nawet rozprzedać prze[illegible] jakiś bogaty fabrykant z Paryża, [illegible] zaszczyt znać familię pani margrabiny, i zdaje się głównie dla sąsiedztwa z Beaulieu nabył la Varenne.

— Czy można zapytać jak się ów pan nazywa? zapytała obojętnie margrabina.

— Nazywa się Moulinet, odpowiedział notaryusz.

Ani mógł się spodziewać jakie wywoła wrażenie oznajmieniem nazwiska nabywcy la Varenne. Panna de Beaulieu zerwała się z krzesła, a baronowa zawołała klaszcząc w dłonie: Ojciec Atenais!

— Rzeczywiście pan Moulinet przybył w towarzystwie młodej osoby, imieniem Atenais, powiedział Bachelin. Dobra te kupił dla niej aby zaliczyć je do jej majętności w dniu spisania intercyzy. Przynoszą 130,000 fr. dochodu, a ceny dzierżaw tak są niskie, iż znacznie można je podnieść.

— A! to już nadto, zostaną waszymi sąsiadami,

zawołała baronowa, a pan Moulinet odgrywać będzie rolę bogatego szlachcica. Biedaczyszko! będzie miał minę swego ogrodnika lub ekonoma.

— Podobno ma być bardzo bogaty? zapytał notaryusz.

— Tak, niesłychanie, do śmieszności bogaty odpowiedziała baronowa, a zwracając się do Oktawiusza, mówiła: Otóż widzisz, kuzynie, do czego doprowadzają twoje teorye! Ten pan Moulinet jest doskonałym okazem tej twojej demokratycznej inteligencyi. Tacy d'Esterllesowie którzy dali Francyi dziesięciu wodzów, dwóch admirałów, jednego marszałka i tylu mężów stanu, których przodków portrety pomieszczono w Wersalu, a nazwiska na wszystkich wielkich kartach naszych dziejów, muszą ustępować z pałacu dla pana fabrykanta czekolady, który nie położył żadnych zasług dla ojczyzny, nie poświęcił jednego centima dla jej dobra, a nazwisko figuruje tylko na reklamach i ogłoszeniach rozlepianych po wszystkich rogach ulic. Oto jaka jest ta twoja demokracya, kuzynie! A! nie mów mi o kraju w którym mogą mieć miejsce podobne obrzydliwości... to kraj zgubiony!

— Uspokój się, kochana baronowo, rzekł Oktawiusz; i mnie to bardzo przykro że d'Esterlles'owie muszą opuszczać pałac, dziedzictwo swych przodków, ale powiedzże mi jak temu zaradzić?.. Nie możemy przecież odebrać pieniędzy panu Moulinet, aby je oddać naszym przyjaciołom—byłoby to trochę za zbyt samowolnie, bo najwięcej, moglibyśmy mu trochę dokuczyć...

— Daj mi pokój, nieznośny jesteś przerwała baronowa. Prawie pewna jestem że nie myślisz tego co mówisz, a mówisz tak dla tego tylko aby mi się sprzeciwiać.

I biorąc pod rękę margrabinę, postąpiła kilka kroków naprzeciw idącego barona z Filipem.

Klara pozostała nieruchoma i zamyślona. Dziwnie zaniepokoiło ją to nagłe pojawienie się pana Derblay i Atenais w jej tak cichem odosobionem życiu. Wychowana w wielkim świecie, którego granic strzeże nadzwyczaj sorowo duma jego mieszkańców, otaczająca go nieprzebytym dla interesów murem, patrzyła z goryczą i osłupieniem na to niespodziewane pogwałcenie jej domowego zacisza. Jak tylko pan Derblay mógł tak łatwo przestąpić progi pałacu Beaulieu, i od razu przyjęto go i obchodzono się jak z równym sobie, zdało się jej że starożytny ten gmach stał się poprostu ulicą. I postanowiła sobie oddziaływać przeciw zbyt niestosownej grzeczności jaką wszyscy okazywali obcym przybyszom — skoro oni zanadto byli uprzejmi i uśmiechnięci, ona okaże się zimną i surową.

W tem wszystkiem co się w koło niej działo, przeczuwała coś niepojętego i groźnego. Zbyt długie milczenie księcia niepokoiło ją więcej niż to okazywała, a pewien przymus jaki dostrzegła w otaczających, niektóre oderwane tu i owdzie pochwycone urywki rozmów, nagłe ich przerywanie jeśli nadeszła niespodzianie, większe niż zwykle okazywane jej oznaki przywiązania, obudziły w niej podejrzenie. Cierpiała niewymownie; dumny jej i prawy charakter nie znosił niepewności. W usposobieniu jej leżało zmierzać wprost i zwalczać śmiało napotykane przeszkody; jednakże w tej okoliczności zbrakło jej odwagi—uczucie ją onieśmielało—lękała się dowiedzieć o tem że narzeczony ją zdradzi. I wstydząc się za ukochanego, bojąc się przekonać o jego nikczemności, wolała o nic nie pytać i cierpieć w milczeniu!

Względem Filipa okazywała się zimną i wyniosłą; nieśmiałe jego hołdy przyjmowała z nieukrywaną pogardą, o tyle zwracając na niego uwagę aby widział że obecność jego ją gniewa. Daremnie Zuzanna pragnęła słodkiemi zwróconemi do niej słowami rozwiązać zacięte usta panny de Beaulieu, co widząc wstała i usiadła przy panu Bachelin, jakby chroniąc się pod ojcowską jego opiekę. Wiedziała że ją kochał jak córkę.

Uprzejme grzeczności margrabiego ujętego widocznie pełną niezrównanego wdzięku prostotą młodej dziewczyny, nie zdołały rozpruszyć chmurki zasępiającej jej czoło. Biedna Zuzanna w jednej chwili straciła wszelkie swoje złudzenia—zrozumiała jak bardzo zagrożonem jest szczęście jej ukochanego brata.. Jej przedwczesny może, zdrowy rozsądek dozwolił jej zmierzyć od razu całą przestrzeń dzielącą Filipa od tej dumnej i wyniosłej arystokratki. Pojęła dobrze iż tylko nieprzewidziany jakiś wypadek, mógł zbliżyć z sobą dwie tak różne od siebie istoty. Nie poddawała się jednak rozpaczy; z niezachwianą ufnością dziecka liczyła na Opatrzność że usunie wszelkie trudności.

Margrabina, pamiętając wielkie pochwały jakie Bachelin oddawał Filipowi mówiąc z nią o nim, uradowana że baron tak nim został zachwycony iż go całkiem dla siebie zagarnął, była dla niego nadzwyczaj uprzejmą a nawet prosiła aby został na obiedzie. Spotkawszy piorunujące spojrzenie córki, zastanowiła się czy czasem nie posunęła się za daleko, ale rozum odpowiedział jej iż nie ma nic przeciw temu, a widoczne niezadowolenie Klary jest po prostu wynikiem prostego kaprysu. Zrestą Filip sam wybawił ją z tego chwilowego zakłopotania, z największą grzecznością dziękując za zaproszenie, z którego jednak nie może korzystać z powodu pilnych bardzo interesów.

W rzeczywistości śpieszno mu było się oddalić. Te dwie godzin spędzonych na tym tarasie, w ciągu których słuchał machinalnie dowodzeń barona, podczas gdy jakby żelazna obręcz ściskała mu skronie, a natłok myśli palił mózg jego, straszną stały się dla niego męczarnią, od której co prędzej wyzwolić się pragnął. To pierwsze, tak niecierpliwie oczekiwane widzenie, z którego tyle radości obiecywał sobie, było jedną z najboleśniejszych chwil jego życia. Znękany, zniechęcony, gotów wyrzec się swych ambitnych zamiarów pożegnał się i opuścił pałac.

Klara widocznie żegnała go z równie pogardliwem lekceważeniem jak i powitała wchodzącego. Nie rzekła ani słowa; na jego pełen uszanowania ukłon, ledwie skinęła głową — tak jakby jakiemuś wychodzącemu dostawcy.

Odejście Filipa byłoby zupełnie podobnem do stanowczej porażki, gdyby sprzymierzeńcy jakich zjednać sobie potrafił, nie byli użyczyli mu zbawiennej pomocy. Baron dowiódł w tej okoliczności, jak silnie namiętność wpływać może na zmianę charakterów. Ten człowiek tak dumny i zimny w obejściu, odprowadził pana Derblay aż do kraty i żegnając kilkakrotnie ścisnął go za rękę tak silnie i bez ceremonii jakby wędrowny czeladnik. Margrabia szedł obok Zuzanny, a niezwykła uprzejmość jego dla brata, dowodziła jak bardzo podobała mu się siostra. Bachelin szedł za nimi, ze swym nieodłącznym portfelem pod pachą: Przy bramie czekał na niego kabriolet, zaprzężony w starego siwego konia, który czekając filozoficznie ogryzał przydrożną leszczynę. Bachelin wsadził najpierw Filipa i Zuzannę, a baron do tego stopnia posunął swą uprzejmość iż trzymał konia za uzdę, podczas gdy margrabia prawił Zuzannie jakieś grzeczności. Nareszcie kabriolet ruszył, a baron i margrabia zawołali jednogłośnie:

— Do widzenia!

Filip drżącym głosem wyszeptał: Nigdy! ale szczęściem turkot kół zagłuszył tę odpowiedź. Słyszał ją tylko jeden Bachelin, i odwracając się do Filipa, zawołał:

— Nigdy! powtórzył, nigdy! czyś rozum stracił, mój przyjacielu? I dla czegóż nie miałbyś bywać w Beaulieu?

Przyciśnięty do muru, Filip wybuchnął i nie ukrywając wypowiedział z goryczą straszne swe rozczarowanie. Po cóż miał trwać w zamiarze któremu wszystko zapowiadało bolesny upadek? Czyż nie lepiej zaraz wyrzec się wszystkiego i przeciąć złe w samym zarodzie, zanim zdoła się rozwielmożnić.

— Powiedz że mi, mój kochany, czegóż takiego się spodziewałeś? rzekł ironicznie Bachelin. Tak gwałtowne użalanie się dozwala wnosić o wielkości wymagań. Czyż obiecywałeś sobie że panna de Beaulieu tak zaraz na pierwsze skinienie będzie zalecać się do ciebie jak gryzetka do studenta? Mój przyjacielu, w świecie do którego wszedłeś, uczucia wszelkie objawiają się zazwyczaj przez nader delikatne odcienia; nie spotkasz tam ani gwałtownych uniesień, ani jasno i wyraźnie okazywanych niechęci lub sympatyi. Tam wszystko odbywa się poprawnie, według konwencyonalnych formułek. Ty miałeś od razu bajeczne powodzenie. Panom bardzo się podobałeś; margrabia jest już twoim przyjacielem, a baron pragnie zostać twoim preparatorem; a nie dość na tem, margrabina, pociągnięta ogólnem uznaniem, przy pierwszej zaraz wizycie zaprasza cię na obiad, jak gdybyś był od dawna zaufanym przyjacielem... I ty jeszcze żalisz się i narzekasz!.. A! jesteś najniesprawiedliwszy i najniewdzięczniejszy z ludzi!.. Co prawda, panna Klara przyjęła cię bardzo zimno—wielka rzecz!.. Nie mogła przecież od razu rzucić ci się w objęcia. Strasznie ci się śpieszy, kochanku! Wczoraj uważałeś sobie za największe szczęście choćby kilka minut tylko popatrzeć na nią z blizka—całe dwie godziny byłeś obok niej i wydajesz rozpaczliwe jęki, skarżysz się na świat i na niebo! zaklinasz się że noga twoja nie postanie w pałacu... Szalony jesteś, mój przyjacielu! Najpierw musisz być jeszcze w Beaulieu, jeżli nie chcesz uchodzić za człowieka źle wychowanego—a potem sam przyznaj czy miałbyś siłę nie bywać w świątyni w której przebywa twoje bóstwo? Ah! mój drogi nie narzekaj! dziękuj raczej Bogu za to szczęście że kochasz; płacz, cierp, jesteś młody, wszystko przed tobą, a nie ma na świecie nic lepszego, nad takie łzy i takie cierpienia. Wierz staremu przyjacielowi, który będąc od czterdziestu lat notaryuszem odebrał wiele zwierzeń, poznał wiele tajemnic i sam jednej dziś tylko żałuje rzeczy...

Bachelin był nadzwyczaj ożywiony, mówił z zapałem, oczy jego błyszczały i byłby pewnie uczynił jakieś ciekawe zwierzenie gdyby nie obecność Zuzanny, która uważnie słuchała słów jego, oskubując listki z pięknej róży ofiarowanej jej przez młodego margrabiego na tarasie w Beaulieu. Notaryusz zamilkł nagle, zaciął biczem konia, a po chwili dodał:

— Wierzaj mi, mój drogi, bywaj u margrabiny... Pannę Klarę czekają niebawem nader ciężkie przejścia, mogące bardzo stanowczo wpłynąć na jej zachowanie się względem ciebie... Aa! już nie wołasz: nigdy! zawsze to już postęp — niebawem powiesz: Zawsze! Ale otóż jesteśmy w Pont-Avesnes; nie wstępuję do was gdyż mam wydać depen-

dentom ważne, polecenia... No, dobrego apetytu; niech ci się wszystko w różowem przedstawia się świetle.

I uścisnął serdecznie dłoń Filipa, Zuzannę pocałował w rękę, poczem popędził główną ulicą i znikł wkrótce na zakręcie rynku.

Filip westchnąwszy otworzył furtkę i weszli na dziedziniec. Szedł zamyślony ze spuszczoną głową, siostra idąc obok niego nie przerywała smutnego milczenia, i tak zadumany wszedł do domu który przed dwoma godzinami opuścił z sercem pełnem nadziei.

VII

Pałac de la Narenne jest jednym z najpiękniejszych gmachów feodalnych jakie dotąd jeszcze przechowały się we Francyi. Wzniesiony został przez sławnego Engeurrand'a d'Estrelles, który wsławił się pod Bouvines i uratował tam króla Filipa-Augusta zruconego z konia przez żołnierza flamandzkiego, następnie spotkał go zaszczyt przyjmować w zamku swoim z ostremi wieżycami i artystycznie wykończonym osłaniającym dachem, cesarza Karola V-go udającego się na oblężenie Nancy. Obalony strzałami działowemi przez Tureniusza, który zbaczając z drogi działań, zrobił małą wycieczkę przeciw Imperialistom, przed rozpoczęciem dzikiej i krwawej wojny w Palatynacie, zamek la Varenne stał w ruinach podczas panowania królów Ludwika XIV i Ludwika XVI.

Rewolucya nie dotknęła sterczących ruin — nie przedstawiały materyału do dzieła zniszczenia. Obywatele z Besancon poprzestali na wycięciu na opał prześlicznego lasu i rozkradaniu kamieni do budowy swoich domów, których postawili z nich przeszło dwadzieścia. Pewien handlarz żelaza wywiózł przeszło 300,000 kilogramów ołowiu pochodzącego z dachu pałacowego, i nie wstydził się sprzedawać go publicznie; dorobił się tym sposobem znacznego majątku.

D'Estrelles'owie walczyli pod Moguncyą, bili się dzielnie, a oddaleni nie mogli bronić swego dobra— i dziwna rzecz! właśnie te grabieże do których należeli wszyscy okoliczni mieszkańcy, ocaliły tę rodzinę od zupełnej ruiny. Rząd rewolucyjny w Besancon nie mógł wystawić na sprzedaż dóbr la Varenne na rzecz skarbu narodowego, gdyż nikt nie odważyłby się je kupić z obawy narażenia się na niechęć i zemstę chłopów i mieszczan okolicznych, nawykłych uważać je jakby za kraj zdobyty.

Dzięki protekcyi Barras'a, d'Estrelles'owie mogli za Dyrektoryatu powrócić do Francyi. Zastali majątki swoje zrabowane i zniszczone ale nie zabrane na skarb, zamieszkali w domku leśniczego wprawiwszy wyrwane drzwi i okna, a za Cesarstwa zająwszy się zarządem i wydźwignięciem z upadku gospodarstwa, na co ostatnie poświęcili fundusze, i dorobili się majątku. Z nastaniem Restauracyi mogli przybyć do Paryża i odpowiednie zająć stanowisko. Za monarchii lipcowej, ostatni d'Estrelles zaślubił córkę bogatego bankiera Klaudyusza Chrétien, świeżo mianowanego baronem za usługi oddane liście cywilnej, która wniosła w dom jego 200,000 fr. rocznego dochodu.

Szlachcic ten, zamiłowany w starożytności, kazał odbudować pałac de la Varenne takim jakim był w najświetniejszych czasach. Stanęły wysokie tarasami uwieńczone mury, wspaniałe prześliczne rzeźbione wieżyce wznosiły swe szczyty po nad korony drzew. Budowa trwała lat dziesięć i pochłonęła ogromne sumy.

Wykwintny gust przewodniczył umeblowaniu. Uprzedzając modę, pan d'Estrelles skupował stare artystycznie rzeźbione sprzęty, zwierciadła w przepysznych ramach, boazerye kościelne, arcydzieła średniowiecznych rzeźbiarzy i prześliczne flandryjskie kobierce i obicia. Tym sposobem la Varenne stało się muzeum w którym nagromadzono wszelkie artystyczne bogactwa z całej prowincyi, pogardzane wówczas a dziś tak upragnione i przepłacane. Zapalony zbieracz żył w zamku swoim jak w raju, zbogacając go ciągle prawdziwemi skarbami.

Pan d'Estrelles umierając, piękne dobra swoje do kwitnącego doprowadzone stanu, zostawił synowi porucznikowi gidów, któremu dodano rodzaj rady opiekuńczej, dla powstrzymania jego marnotrawstwa. Mimo to, w przeciągu czterech lat, majętność de la Varenne została obciążona długami wyniszczającemi dwie trzecie całej wartości, i nieocenione zbiory sztuki miały być przewiezione do Paryża i sprzedane przez licytacyę, właśnie gdy pojawił się pan Moulinet w celu nabycia tej posiadłości.

Trwając niezachwiane w zamiarze wydania córki za księcia de Bligny, zbogacony fabrykant czekolady zamyślał najpierw odkupić dobra de Bligny w Turenii, ale rodzinny majątek przyszłego zięcia kilkakrotnie zmieniał właścicieli a nareszcie został nabytym przez bogatego fabrykanta fajansu z Blois, który odrzucił wysoką cenę jaką ofiarował mu Moulinet. Nie mogąc nabyć dóbr de Bligny ojciec Atenais kupił la Varenne i zachwycony był z tego nabycia, z powodu sąsiedztwa z Beaulieu.

Nie żałował że zapłacił bardzo drogo. W ten sposób, myślał sobie, żyć będziem jak w kółku rodzinnem, i zawiążą się nader przyjazne stosunki sąsiedzkie. Wierny wykonawca śmiałych projektów córki pod względem wyboru męża, Moulinet nie znał ich przecież w całej rozciągłości, a nadto był przygotowany na to że rodzina księcia nie przypuści go tak od razu do zbytniej poufałości, choćby już dla tego że przecież Gaston był narzeczonym swojej kuzynki. Ale nadzwyczaj praktyczny, ambitny dorobkiewicz uważał owe zaręczyny za dziecinną zabawkę. Gaston i Klara zaręczyli się w tak młodziutkim wieku, kiedy serce nie zna jeszcze samo siebie, a umysłowi brakuje jeszcze kierunku. Ani przypuszczał aby w sercu którego z narzeczonych, w następstwie owych zaręczyn, zbudziło się prawdziwe, głębokie uczucie.

On sam, będąc młodym chłopcem i czeladnikiem cukierniczym, przyrzekł wierną miłość trzynastoletniej córce stolarza zamieszkałego przy ulicy de la Ferronnerie — niezadługo przecież zapomniał o niej i panna stolarczanka poszła za rzeźnika z placu Niewiniątek. Niedawno temu, widział ją tłustą i czerwoną, jak z odwiniętemi rękawami od koszuli sprzedawała i ważyła mięso na mosiężnej wadzie. A on, Moulinet, zostawszy milionerem, mieszkał w przepysznym pałacu przy bulwarze Malesherbes;—i jakiż teraz mógł zachodzić stosunek między nim, sędzią trybunału handlowego, a tą spasioną, błyszczącą zdrowiem rzeźniczką? Życie podjęło się zaprowadzić porządek w ich niedorzecznych zachciewkach, i rozłączając postawiło oboje na właściwych im stanowiskach. Toż samo ma miejsce co do księcia i panny de Beaulieu.

Gdyby się połączyli, skazaliby zostali oboje na mierność — rozłączeni, każde może z łatwością świetną zapewnić sobie przyszłość. Jak tylko książę ożeni się i odpowiednie zajmie stanowisko, Klara ze swej strony może świetną zrobić partyę — do czego on sam gotów jest dopomagać wszelkiemi siłami.

A zresztą w umyśle jego tkwił argument przeważający wszelkie inne — on chciał żeby tak było. Uznał księcia de Bligny takim właśnie jakiego pragnął na zięcia. I któż potrafi, takiemu jak on człowiekowi, który zmusił szczęście aby mu sprzyjało, zabronić robić dziś co mu się podoba? Postanowił sobie że córka jego zostanie księżną—i tak być musi i będzie...

Wspaniałość i wielkość zamku de la Varenne schlebiały dumie Moulinet'a, zachwycały go obiegające w koło galerye, wieże z blankami, wielki zegar na wieży głośno i przeważnie wydzwaniający godziny. Zdawało się pysznemu dorobkiewiczowi że znajduje się na właściwem sobie miejscu gdy się przechadzał po sali której ściany były pokryte herbami arystokracyi połączonej ze starożytną rodziną d'Estrelles. Nie zawahał się wybrać dla siebie wyrestaurowanego z najsumienniejszą dokładnością pokoju, w którym Karol V-ty noc przepędził.

Zbogacony fabrykant czekolady położył się z trudnem do opisania zadowolnieniem, na tem samem miejscu na którem kiedyś spoczywał zwycięzca z pod Pawii. Słysząc że wszyscy nazywają ten pokój pokojem cesarza, zapomniał że go odnowiono świeżo i ustawiono w nim nowe meble wyrobione na podób znajdujących się tam dawniej, myślał tylko o tem że to taż sama posadzka, też same ściany wśród których przebywał przez kilka godzin wielki człowiek, i dla tego właśnie wybrał ten pokój dla siebie. Z najżywszą przyjemnością wchodził do łóżka stojącego na wyniesieniu i osłoniętego kotarą z weneckich koronek, a przy każdej sposobności powtarzał z dumą: „Mój zegar nakręcał kiedyś Karol V-ty." Był najsilniej przekonany że wielki monarcha zajmował się przez całe życie regulowaniem zegarów, ponieważ posłyszał że czynił to dla rozrywki będąc już w klasztorze.

Atenais ze swej strony, widziała przedewszystkiem w tym zamku groźną fortecę z której będzie mogła uderzyć na swą nieprzyjaciółkę. Według niej główną wartość la Varenne stanowiło, że okazałe wieżyce zamku wznosiły się zaledwie o dwie mile od Beaulieu, co czyniło ją panią położenia, dozwalając upatrzeć stosowną chwilę w której będzie mogła zadać dotkliwy cios nieprzyjaciółce którą nienawidziła wszystkiemi siłami swej duszy.

Przybyła do la Varenne nazajutrz po podpisaniu aktu sporządzonego przez pana Bachelin, i zasięgnęła zaraz zręcznie potrzebnych sobie wiadomości. Dowiedziała się że baronowa jest obecnie w Beaulieu, ale nie ustraszała jej bynajmniej obecność jednego więcej przeciwnika, cieszyła się przeciwnie, że będzie tryumfować nad dumną panną de Beaulieu, w obecności pani de Préfont.

Moulinet i Atenais już od trzech dni bawili w pałacu. Nowy właściciel la Varenne obszedł już kilka razy swój park, ogród warzywny i zabudowania gospodarskie, zaczynał się już nudzić śmiertelnie w swej wspaniałej posiadłości, gdy umyślny przyniósł z miasta depeszę telegraficzną, oznajmiającą przybycie księcia, którego niespodziewano się tak prędko.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 42.

N. 1—3. Ubrania spacerowe.

N. 1. Ubranie z długim płaszczykiem.

Ryc. 1 przedstawia strojny i świeżym fasonem odrobiony płaszczyk z pluszu lub aksamitu, a rękawy sfałdowane w bufę na plecy zachodzącą, daje się z ciężkiego jedwabnego repsu. Do pleców poniżej wcięcia w pasie dodaje się potrzebną ilość materyału, na fałdy do spodu założone, a przody i boki są zwykłą luźną, paletotową formą przykrojone. Garnirunek płaszczyka stanowi koronka 10 cent. szeroka, agrafy z pasmanteryi i trochę kokard ze wstążki. Przody zapinają się na kryte haftki.

N. 2. Ubranie ze stanikiem à panier.

Suknię odrobioną z sukienka lub innego wełnianego, jesiennego materyału, zdobi szamerunek z grubego sznura i naszycie z szerokiego sutaszu, dobranego w ciemniejszym cieniu. Nad dwoma w kontrafałdy układanemi wolantami, z przodu na spódnicy dodana draperya plisowana fartuszkowa, a z tyłu suto podpięty bryt prosty. Zręczne panier kraje się razem z przodami, a do pleców dodana krótka bufiasto upięta baskina.

N. 3. Ubranie z krótkim płaszczykiem.

Rękawy przykrojone razem z plecami, tylko do wcięcia w pasie dochodzącemi, z przodu mają kształt pelеryny, do pleców dodaje się baskinę złożoną w dwie szerokie kontrafałdy, której przyszycie przykrywa szeroka aksamitna patka, przypięta guzikami. Gładko do dołu spuszczone, szerokie szalowe przody, podszyte materyą jedwabną, zdobi bogata frendzla. Plisy przy rękawach i kołnierz wykładany są z aksamitu. Płaszczyk taki odrobić można z sukna, z materyi jedwabnej, lub z tego co suknia materyału.

N. 4—6. Przykrycie na gzyms do kominka.

Haft krzyżowy robi się na kanwie grubej, nicianej, włóczką hamburską lub berlińską, filozelą, szenelą i sznureczkiem złotym; po brzegach daje się 5 i pół cent. szerokie paski pluszu. Kanwa zajmuje całą szerokość przykrycia (30 cent.,) a plusz naszywa się na wierzchu, sposobem wskazanym na próbce ryc. 5; prócz tego dodaje się kanwy na podkład pod frendzlę 11 cent. szeroką. W tym celu zostawia się dwie poprzeczne nitki kanwy za pluszem, resztę siepie się, wiąże razem po 5 nitek na kwaściki, między które dodaje się dwie przez brzeg kanwy przewleczone i podwójnie złożone nitki włóczki, tego co plusz koloru, które w górze przewiązuje się i rozczesuje. Na wierzch frendzli dodaje się w równych odstępach przyczepione kwaściki, złożone z pięciu kulek, robione z włóczki i jedwabiu w kolorach haftu. Ryc. 5 przedstawia w naturalnej wielkości grubość kanwy i wielkość ściegów a na ryc. 6 dajemy deseń do roboty krzyżowej, z oznaczeniem kolorów i gatunku materyałów.

N. 7—9. Kasetka na toaletę, z poduszeczką do szpilek podwójnych.

Pudełko tekturowe z płaskiem wiekiem, trzymające 18 cent. w kwadrat, 9 cent. wysokie, pokryte z wierzchu i wewnątrz atłasem wodnozielonego koloru, miało na wierzchu wieka dodaną poduszeczkę do szpilek, wysłaną białą włosiennicą. W środek wkłada się szufladkę 4 c. głęboką, przedzieloną na przegródki widoczne na ryc. 9, także atłasem wyklejone, do podnoszenia służą uszy ze wstążeczki. Koronka zmarszczona 7 cent. szeroka, zdobi boki kasetki, a wieko haft wenecki, robiony na płótnie écru, jedwabiem takiegoż koloru, do którego $^1/_4$ część deseniu, dajemy na ryc. 8. W środku na niepokrytem haftem wysłaniu daje się podwójne przykrycie robione z jedwabiu na dość grubych drutach, gładko tam i napowrót, pierwszą warstwę z jedwabiu zielonego, zwierzchnią z jedwabiu écru.



Ubrania spacerowe.

N. 1. Ubranie z długim płaszczykiem. N. 2. Suknia ze stanikiem à panier. N. 3. Ubranie spacerowe z krótkiem okryciem.

N. 12. Kołnierz i żabot z koronki saskiej.

Tak kołnierz w rogach skośnie zaszyty jak i żabot robi się z koronki 12 cent. szerokiej, ten ostatni układa się na kawałku tiulu 2 cent. szerokim a 15 długim. Kołnierz wszywa się w pasek na który spada koronka 3 cent. szeroka.

N. 13. Chusteczka koronkowa ozdobiona kokardami ze wstążki.

Pasek ze sztywnego tiulu 3 i pół cent. szeroki, atłasem pokryty, do którego przyczepione są dwa końce żabotowe 16 cent. długie, w górze 4 cent. szerokie, do dołu skośnie ścięte, atłasem pokryte, stanowi podstawę chusteczki, oszytej z brzegu w kontrafałdy układaną, 6 cent. szeroką koronką. Takąż koronkę gładko od spodu przyszytą wykłada się na pasek i na części żabotowe. Kokardy z atłasowej, 4 i pół cent. szerokiej wstążki.

N. 17—18. Długi paletot zastępujący płaszczyk.

Paletot zdobiony pletnią wełnianą $2^3/_4$ cent. szeroką, przedstawiony z przodu i z tyłu na ryc. 17 i 18, łatwo przykroić można podług każdej, wcinanej do figury formy paletocika, przedłużonej i rozszerzonej do dołu. Przy zeszyciu pleców na 10 cent. od wykroju szyi, dodaje się materyału na kontrafałdę 6 cent. szeroką, założoną do spodu. Głębokie zaszewki w piersiach, zaszywa się do długości baskiny, a dalej puszcza luźno do dołu, jak to widać na ryc. 18. Model miał 135 cent. przedniej, 144 tylnej długości, a 218 cent. dolnej szerokości. Brzeg stojącego kołnierza i przody obięte są pletnią wełnianą, z której dane naszycie na rękawach i na bocznych szwach pleców. Na patki z przodu, stopniowo od 10—13 cent. długie, składa się pletnię w ząb, przeprowadza podwójnie do dołu i przyszywa guzikiem. Do zapięcia dane dziurki między patkami. Na patkach dać dla ozdoby metalowe lub dżetowe guziki baryłkowe 5 cent. długie, a do zapięcia zwyczajne, oszyte takim jak paltot materyałem.

N. 19. Spódnica do sukni z draperyą odmiennie upiętą z każdego boku.

Chociaż taką draperyę można dać z takiego jak suknia materyału, ładniej jednak wygląda dana z materyału odmiennego gatunku lub deseniu. Model odrobiony z fularu gładkiego i w deseń, miał spódnicę pokrytą na 78 cent. długości garnirunkiem z buf przemarszczanych w odstępach 22 cent. zakończonych wolantem 9 cent. szerokim, oszytym równie szeroką koronką, zachodzącym na plisowanie przyszyte u dołu. Na długą draperyę upiętą z prawego boku, trzeba bryta 180 cent. długiego, a na upięcie z lewego boku 85 cent. Tylną draperyę układa się z bryta 100 cent. szerokiego.

N. 20—24. Fartuszek bogato ozdobiony haftem i koronką.

Fartuszek mający 103 cent. długości a 90 szerokości, zrobiony był z białego surowego, nie zbyt cienkiego płótna. Kliny boczne złączone były z brytem przednim, wstawką nicianą, robioną na klockach której próbkę dajemy na ryc. 21, brzegi podłużne oszyte koronką podaną na ryc. 22. Bogaty haft u dołu składa się z odrobionego dwa razy szlaku, podanego w naturalnej wielkości na ryc. 24, któren haftuje się nićmi białemi, ściegiem dzierganym, i z oddzielnie robionego na płótnie haftu reticella, którego jeden ząb przedstawia ryc. 23. Sposób takiego haftu opisywaliśmy w początku r. b. Wykończony haft przyszywa się szwem nieznacznym, do wązko obrobionego brzegu fartuszka.

N. 25—26. Sukienka wycięta, dla małych dziewczynek.

Ryc. 25 i 26 przedstawia z przodu i z tyłu, luźną sukienkę bluzkową, złożoną z przodu i pleców, skośnie z boków ściętych i razem zeszytych. Pod stan aż za wcięcie w pasie, daje się mocną, gładką podszewkę; aż do długości podszewki zaszywa się przód w trzy, a plecy z każdej strony w jedną 4 i pół cent. szeroką kontrafałdę. Pod dolną część sukienki daje się muślinową podszewkę, a fałdy są luźno puszczone. Ryc. 25 przedstawia sukienkę z jasno bronzowego beżu, wyszytą ciemniejszym sutaszem; pod boczne fałdy przodu przyszyty jest pasek 5 cent. szeroki, z tyłu pod kokardą zapięty. Sukienka podana z tyłu na ryc. 26, oszyta jest sutaszem i pletnią wełnianą 3 cent. szeroką, a w miejsce paska przypasana szarfą 15 cent. szeroką, z tyłu na węzeł związaną.

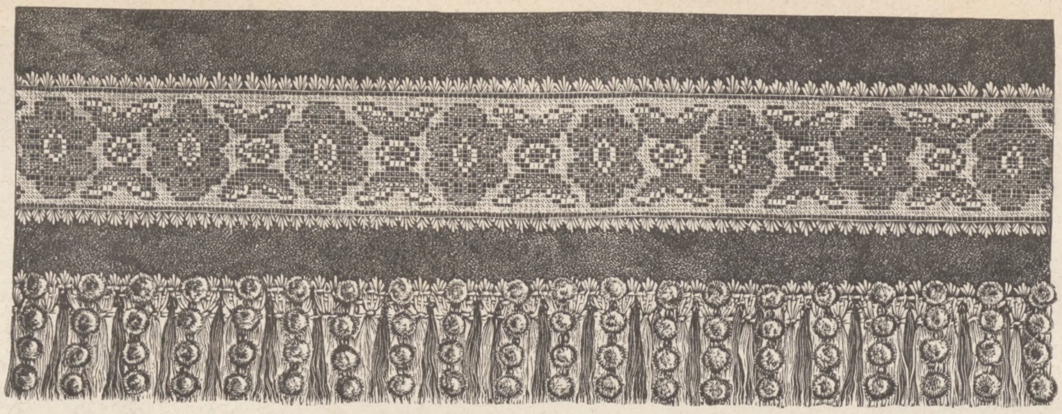
N. 27 i 28. Teka do pisania.

Haft złotem i srebrem na aksamicie lub atłasie koloru bordo. Na ryc. 28 dajemy trochę więcej jak $^1/_4$ część deseniu, na którym wskazane są rodzaje materyałów i ściegów haftu.

N. 29—30. Kaftanik dla małych dzieci.

Robota szydełkowa. Przód i każdą część pleców zaczyna się od dołu oddzielnie, odpowiednio długim łańcuszkiem i obrabia kilka razy ściegiem tunetańskim deseniowym, potem na szlaczek wyszyty krzyżykami 6 razy tam i napowrót ściegiem gładkim, dalej znów ściegiem deseniowym, którego próbkę naturalnej wielkości, dajemy

na ryc. 30. W ściegu tym, w rzędach idących naprzód, jedno oko robi się sposobem zwyczajnym, przed o: drugiem zarzuca się wpierw nitkę na szydełko a następnie takowe wkłada w o: rzędu poprzedzającego i przeciąga pentelkę sposobem wskazanym na próbce. W następnym rzędzie zarzuca się nitkę przy oczkach robionych gładko. Rzędy wsteczne robić sposobem zwyczajnym; napierśnik i szlaczek przy nim gładko; gubienie i przybieranie przy wykroju pachy, pasować podług formy. Model robiony był z bawełny białej a deseń krzyżowy po zeszyciu z lewej strony pleców z przodami, wyszyć bawełną ponsową. Wykrój szyi i brzeg kaftanika obrobić o: ściślemi a następnie wązką szydełkową koroneczką.



N. 4. Przykrycie na gzyms od kominka. Patrz ryc 5—6.



N. 10. Kapotka ogarnirowana riuszą.

N. 31—32. Czepeczek ranny ubrany wstążką.

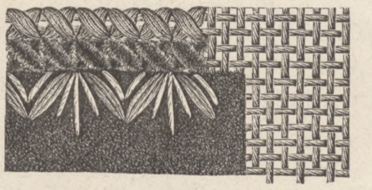
Fason czepeczka stanowi czółko ze sztywnego tiulu, przykrojone nakształt kolistego kołnierzyka, w koło agremanem oszyte i z obydwóch stron indyjskim muślinem pokryte, mające 10 cent. środkowej a 8 brzeżnej szerokości. Gdy czółko ogarnirujemy wewnątrz trzema, a zewnątrz czterema rzędami, jeden na drugi zachodzącemi, koronki 4 cent. szerokiej, w kontrafałdy ułożonej, trzeba górne brzegi czółka złączyć paskiem tiulu 1 cent. szerokim a 5 cent. długim, podszytym tasiemką. Środek czółka zapełniają trzy rzędy pukli na dwie strony spadających, połączone ze sobą w środku węzłami w jednym ciągu danemi. Boczne brzegi czółka pokrywa wstążka 6 c. szeroka, w paski atłasowe vieil-or i kwiatki różnokolorowe na tle białem, którą wiąże się z tyłu.



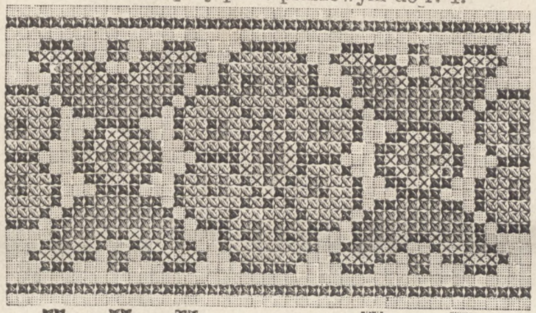
N. 7. Kasetka na toaletę z poduszeczką. Patrz r. 8 i 9.



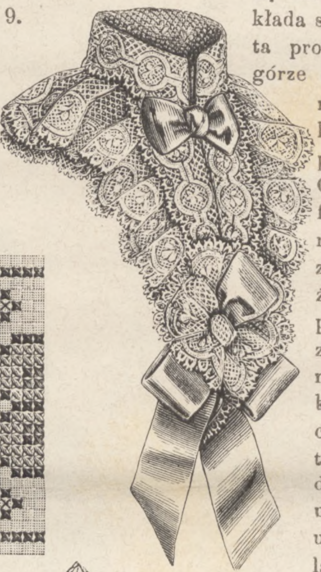
N. 12. Kołnierz koronkowy, z żabotem.



N. 5. Szlaczek przy pasie pluszowym do r. 4.



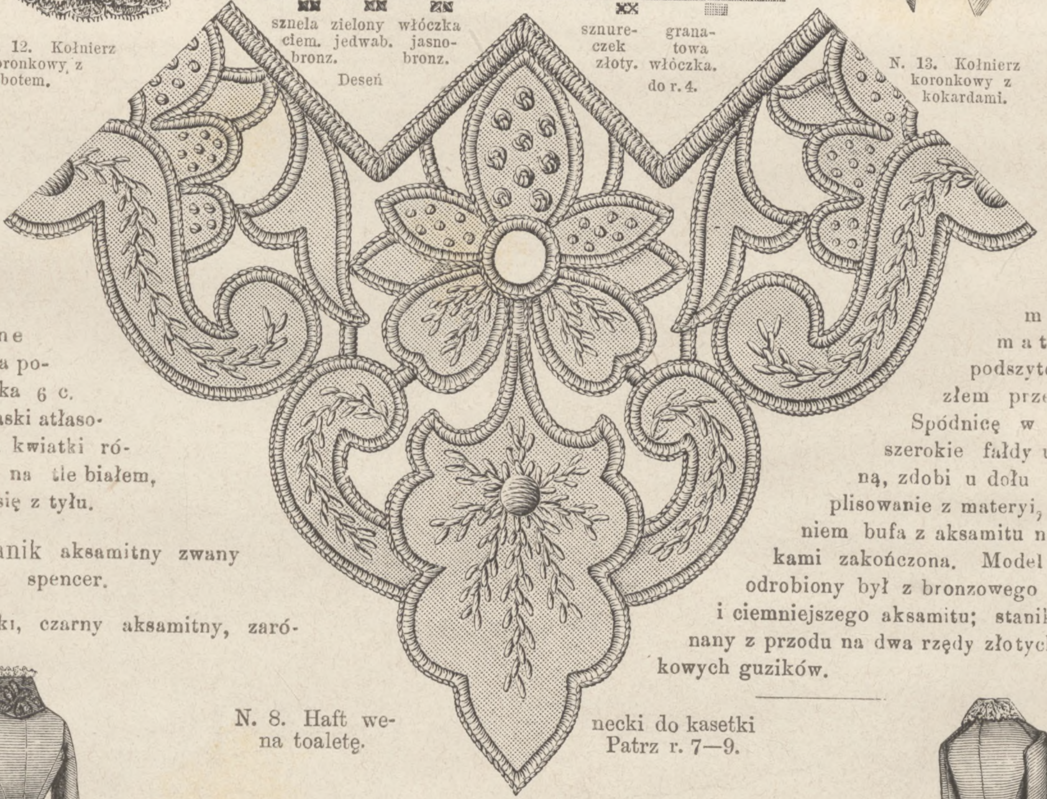
Deseń do r. 4.



N. 13. Kołnierz koronkowy z kokardami.



N. 11. Kapotka zdobna koronką i piórem.



N. 8. Haft we- na toaletę.

necki do kasetki Patrz r. 7—9.

N. 33. Stanik aksamitny zwany spencer.

Stanik taki, czarny aksamitny, zarówno noszony być może do najstrojniejszej, jak i do skromnej spódnicy innego koloru; najlepiej przedstawia on się bez żadnego ubrania, jak na ryc. 33. Kołnierz stojący i obcisłe rękawy zdobiła na modelu, gładko wyłożona koronka retycella, której próbkę dajemy na ryc. 35.

N. 36. Ubranie z draperyą à panier. Stosowny rękaw na ryc. 43 w N-rze 43.

Dół spódnicy oszyty jest szeroką, marszczoną koronką i plisowaniem z tego co suknia materyału. Z przodu i z boków w miejsce draperyi dana szeroka falbana, kilka razy przemarszczona w górnej połowie, a u dołu koronką oszyta. Na falbanę zachodzi panier w górze kilka razy przemarszczone i na brzegu bawetowego stanika przyszyte; tylną draperyę układa się z bryta prostego, w górze na guziki na staniku przypiętego. Oprócz fryzki koronkowej z krótkim żabotem, przypięty z przodu na staniku bukiecik kwiatów i wstążki do ramienia przechodzące. Model odrobiony był z kremowego kaszmiru, równie jednak użyć można jedwabnego bastu, fularu lub satynki.

N. 37. Suknia z draperyą szalową.

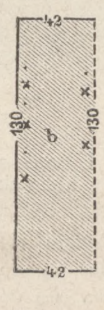
Tak krótką draperyę szalową, przyczepioną do brzegu stanika z baskiną jak i sute upięcie z tyłu, układa się z brytów prostych; oprócz tego dodaje się z tyłu cztery długie pukle aksamitne, materyą podszyte i węzłem przypięte. Spódnicę w koło w szerokie fałdy układaną, zdobi u dołu wązkie plisowanie z materyi, a nad niem bufa z aksamitu nagłówkami zakończona. Model sukni odrobiony był z bronzowego atłasu i ciemniejszego aksamitu; stanik zapinany z przodu na dwa rzędy złotych, kulkowych guzików.



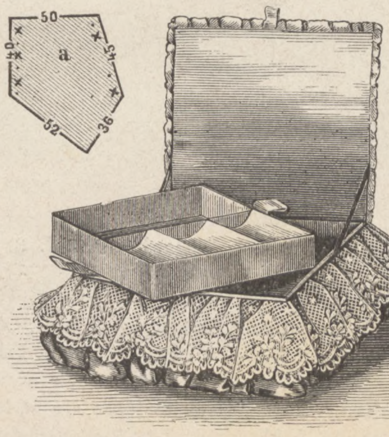
N. 17. Płaszczyk formą paletota. Patrz ryc. 18.



N. 14. Suknia z aplikacyą. Patrz r. 15 i ryc. 32 w N. 43.



N. 15. Wskazanie kroju tuniki do ryc. 14.



N. 9. Kasetka na toaletę. Otwarta. Patrz ryc. 7—8.



N. 16. Suknia z pluszowym stanikiem. Patrz r. 33 w N. 43.



N. 18. Płaszczyk formą paletota. Patrz ryc. 17.

Opis do N-ru 43.

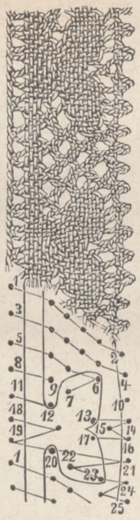
N. 1—5 i 39. Serweta haftowana na płótnie.

Na ryc. 39 daliśmy serwetę wyszy-

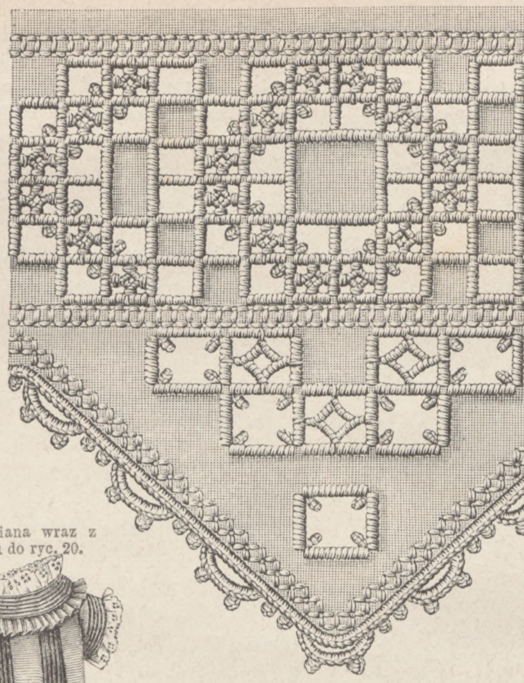


N. 19. Suknia z draperyą odmiennie podpiętą z każdego boku.

tą podług starożytnego hiszpańskiego wzoru; tło stanowi grube płótno na którem deseń wyszyty bronzową włóczką licząc po trzy nitki płótna w kwadrat, ściegiem krzyżykowym, smyrneńskim i stębnowanym. Różne części deseniu zamieściliśmy na ryc. 1—5, lub też dobrać go można w poprzednich N-rach Tygodnika.



N. 21. Koronka niciana wraz z napięciem deseniu do ryc. 20.



N. 23. Szlak haftem „Reticelia" do r. 20.



N. 22. Wszywka niciana do ryc. 20.



N. 25. Sukienka wycięta dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 26.



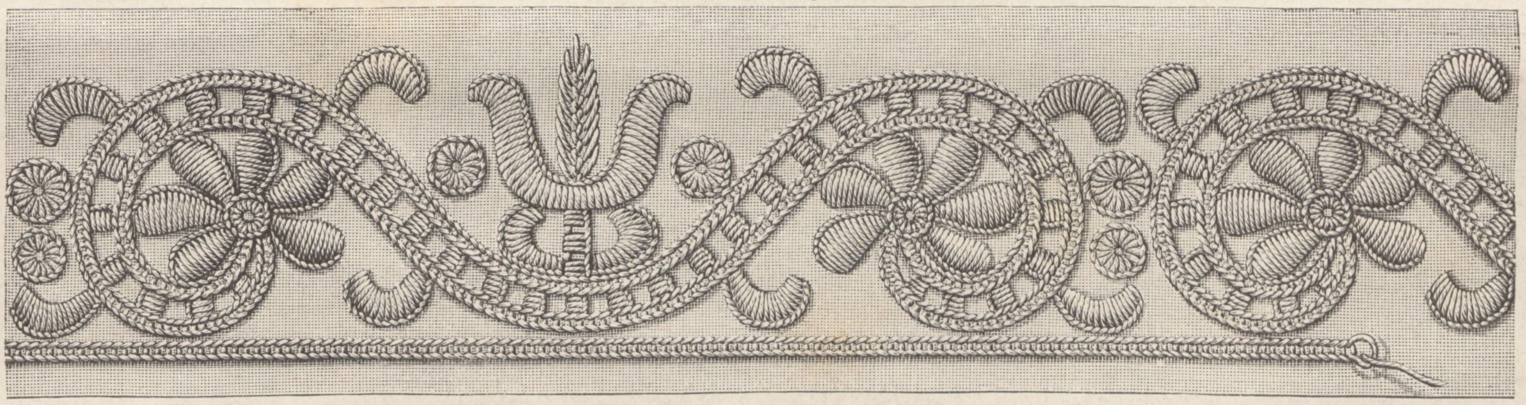
N. 27. Teka na papier listowy. Haft złotem patrz ryc. 28.



N. 26. Sukienka wycięta. Przód na r. 25.

N. 6. Gorset włóczkowy.

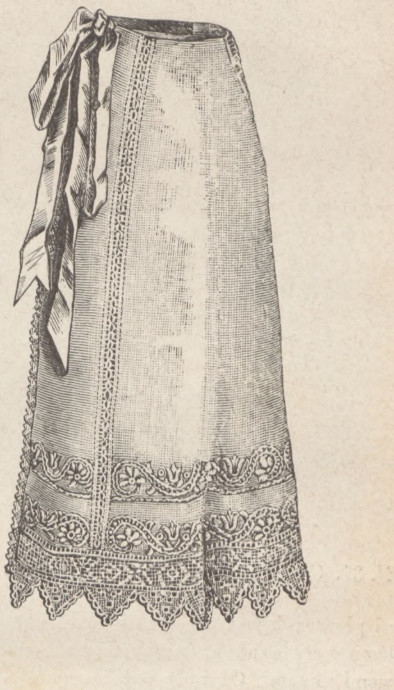
Dla osób, które nie lubią lub nie mogą nosić sztywnych obcisłych gorsetów, bardzo praktyczny jest gorset przedstawiony na ryc. 6, robiony na maszynie pończoszniczej z włóczki ponsowej; przylega on obciśle i miękko do ciała nigdzie nie uciskając; brykla dana jest z tyłu do zapinania i środkiem przodu. Gorset taki trzeba robić podług miary branej na każdą figurę.



N. 24. Szlak ściegiem dzierganym, do ryc. 20.

N. 7—8 i 42. Suknia z odmiennym stanikiem.

Rycina 7 i 8 przedstawiają skromne i praktyczne ubranie, którego spódnica i draperya są z oliwkowego szewjotu w kratę bronzową z niebieskim a stanik jest z gładkiego ciemno oliwkowego szewjotu. Spódnica na czarnej żagnotowej podszewce jest cała zaplisowana w fałdy 3 cent. szerokie; z przodu widać plisowanie na 45 c. z boków na 65, z tyłu zaś tylko na 37 cent. długości. Na przednią połowę draperyi potrzeba bryta 125 cent. długiego 130 sze-



N. 20. Fartuszek z haftem Reticella i dzierganym. Patrz ryc. 21—24.

rokiego, który złożony w fałdy zwrócone ku górze, z boków zebrane do 46 cent. długości, przyszyty jest na spodnicy, w odstępie 27 cent. od paska. Przy plecach gładkiego stanika zbywająca szerokość baskiny zakłada się w fałdy podług ryc. 8; brzegi boczne zachodzą pod spód i są przytrzymane guzikami. Kołnierz wykładany z klapkami, odsłania pod szyją ciemniejszą kamizeleczkę; na ryc. 42 dajemy ładny wzór rękawa.

N. 9—10. Płaszczyk zwany redingote. Krój jak do ryc. 1—2 w N. 40.

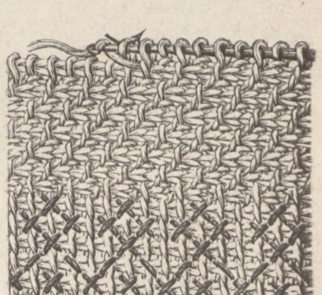
Płaszczyk taki z łatwością dopasować można podług powyżej wskazanego kroju, lub podług formy dobrze leżącego stanika z baskiną do której dodaje się dolną połowę, przyszytą pod plisą. Część dolna składa się z dwóch prostych brytów po 118 cent. szerokich a 90 długich; górny brzeg układa się w fałdy po 6 cent. głębokie w ten sposób, aby z przodu pierwsza fałda zaczynała się przy drugiej zaszewce, a druga równała się ze szwem bocznym; trzecia fałda wypada o 15 cent. dalej, zazbywającą jeszcze szerokość zakłada się w dwie zachodzące na siebie fałdy na środku pleców. Rycina 9 przedstawia redingote z szewjotu w kratę zieloną z bronzowym, przybrany 5—7 cent szerokiemi plisami z ciemno zielonego pluszu, naśladującego pióra, zapięcie z przodu urządzone na patki jak na ryc. 10. Dru



N. 29. Kaftanik dla dziecka. Próbka roboty na ryc. 30.



N. 28. Część haftu złotem do ryc. 27.



N. 30. Robota szydełkowa do ryc. 29.



N. 31. Czepeczek negliżowy. Patrz r. 32.

N. 19. Kapotka aksamitna. Patrz ryc. 11 w N-rze 42.

Rycina 19 przedstawia z przodu kapotkę z rondem odstającem od czoła podszytem koronką ficelle; brzegi rondka i główki otacza rząd dużych szlifowanych pereł dżetowych. Koronka, aksamitka i pióra składają zwierzchnie przybranie.

N. 20—24. Modne bizuterye.

Na ryc. 20 widzimy broszę złotą, w której w delikatnie syzelowanej oprawie osadzona jest starożytna włoska moneta; druga brosz-



N. 32. Czepeczek negliżowy. Patrz r. 31.



N. 33. Suknia z aksamitnem stanikiem. Patrz ryc. 35.

N. 34. Suknia przewłóczona wstążką. Patrz ryc. 35 w N-rze 42.

gi płaszczyk jest z cienkiego ciemno bronzowego sukna, przybrany pluszowemi plisami. Okrągły wykładany kołnierzyk jest 8 c. szeroki; brzegi przednie podszywa się plisą atlasową 15 cent. szeroką.

N. 16. Krawatka oszyta koronką.

Kawałek indyjskiego muślinu żółtawego koloru, 10 c. szeroki a 120 długi, stanowi środek krawatki, oszyty 4 cent. szeroką wszywką i 5 cent. szeroką koronką saską. Końce trochę zaokrąglone, naszyte są z wierzchu drugi raz daną wszywką i koronką.

N. 17. Krawatka z haftem ażurowym.

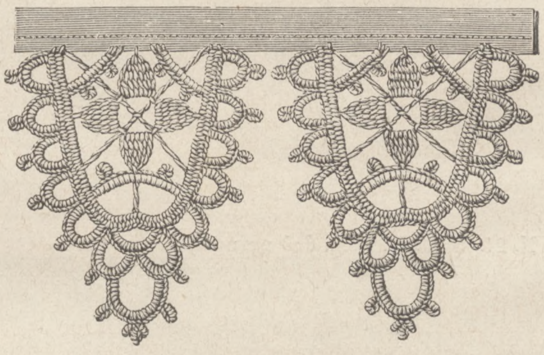
Zrobiona z białego batystu liczy 22 c. szerokości a 160 długości i zakończona jest 23 cent. szerokim ażurowym maszynowym haftem.

N. 18. Kapelusz okrągły dla młodej panienki.

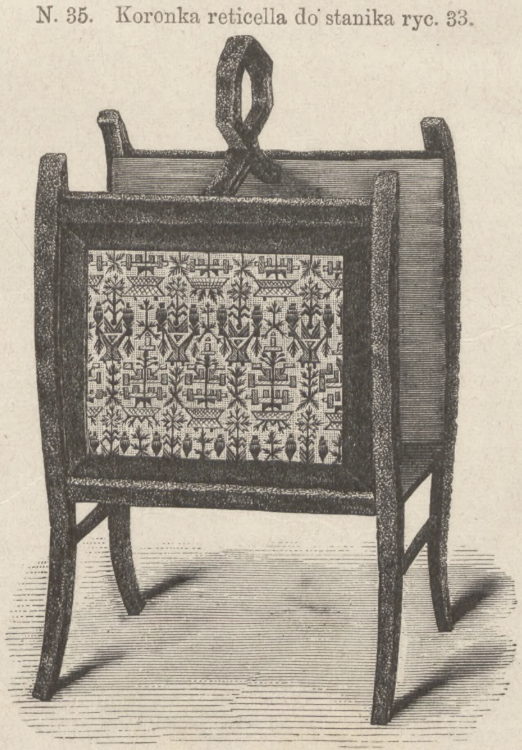
Ciemnogranatowy filcowy kapelusz ma szerokie rondo z jednego boku wysoko odwinięte, z drugiego spadające na dół, podszyte granatowym aksamitem z brzegiem ozdobioym dużemi złoconemi perłami. Zwierzchnie przybranie stanowią dwa 15 cent. szerokie skosy aksamitne przewiązane w węzeł i trzy bladoniebieskie strusie pióra.



N. 36. Suknia z draperyą à panier.



N. 35. Koronka reticella do stanika ryc. 33.



N. 38. Postument do wkładania pism i gazet.

ka z matowego srebra ozdobiona kamieniami lapis lazuli w złotej oprawie i perłami. Szpilki, jakie dawniej zdobiły męzkie krawaty, obecnie stanowią modny dodatek w damskiej toalecie przy stojącym płóciennym kołnierzyku, związanym kolorową jedwabną krawatką.

N. 25. Sukienka bluzkowa dla panienki lat 9—12.

Może być cała odrobiona na podszewce gładko dopasowanej, albo też dodaje się takową tylko pod karczek i niższe przemarszczenie 10 cent. szerokie. Dolny brzeg bluzki stanowi nagłówek nad dodaną częścią spódniczkową, 33 cent. długą 120 szeroką garnirowaną plisowaniem 7 cent. szerokiem, falbankami marszczonemi 14 c. szerokiemi i falbanką haftowaną na kaszmirze 7 cent. szeroką. Rękawy uszyte z prostege kawałka, zmarszczone u góry, przy ręku założone w trzy wązkie kontrafałdy, oszyte falbanką haftowaną i przewiązane wstążką.

N. 26. Sukieneczka wycięta dla dziecka lat 2—4.

Proste przody i plecy przykrajane szeroko są przemarszczone przy wykroju szyi i u dołu, zostawiając tylko falbankę 6 c. szeroką; spódniczka przyszyta do bluzki jest 17 cent. długa a 114 szeroka. Rękawki marszczą się na gładkiej podsze wce. Przy sukience z piaskowego beżu w kolorową kratee zkę, dane były szlaczki haftowane biało na tle ponsowem, 3 cent. szerokie.

(D. n.)



N. 37. Suknia z draperyą w formie szarfy.